

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 4 (1792) • 24-30 stycznia 2025



UWAGA
na fałszywych
wolontariuszy



nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE Tygodnik NIE

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

WOJNA DOMOWA

Donald Trump wstąpił na tron. Wygłosił z tej okazji trzy przemówienia, a każde następne było bardziej porywające od poprzedniego. Polska klasa polityczna, niezależnie od barw partyjnych, wzięła udział w konkursie: kto piękniej zakoił się donaldowe jaja. Ogólnie można odnieść wrażenie, że koalicja rządząca tkwi w przekonaniu, że jesteśmy prymusem, albowiem wydajemy w chuj kasy na broń, i większość w USA, więc Donald okazał nam łaskawość. To łaszenie się dowodzi trafności słów wodzirejki imprezy, republikańskiej senatorzycy Deb Fischer, która mówiła o *narodach wolnego świata, którym pokornie staramy się przewodzić*. Słowo pokornie ubawiło nas szczególnie – acz uczciwie trzeba przyznać, że sam wielki człowiek nie wprowadzał takich akcentów komicznych do swojego wystąpienia i mówił o sobie z niekłamnym podziwem. Woody Allen powiedział kiedyś: *nie lekceważ masturbacji, to seks z kimś, kogo naprawdę kochasz*. Donald Trump wziął tę złotą myśl i ekstrapolował ją na biznes, telewizję i przywozienie wolnemu światu.

Na inronizację Trumpa nie zaproszono przedstawicieli najważniejszego sojusznika na flance wschodniej. Pierwotnie mówiono, że zaproszono Mateusza Morawieckiego – ale nie jako dumnego Polaka, tylko jako szefa Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. A potem się jeszcze okazało, że premier miał status „zaproszony–niewpuszczony” – chyba gorzej niż „zamówiony–nieodebrany” – co ujawniła, o zgrozo, ukraińska dziennikarka Oliya Scootercaster. Która pokazała na lksie, jak Morawiecki próbuje się wbić na melanz bez papierów, pokazując strażnikom swoją stronę w Wikipedii. Morawiecki protestuje, że wcale nie siedzi tam, gdzie go nie chcieli, tylko zupełnie dokąd indziej. Dodatkowo były premier jest ścigany przez prokuraturę za wybory kopertowe. Zapowiedział, że sam zrzeknie się immunitetu. *Jak mówi że się zrzeknie, to się pewnie zrzeknie – skomentował zapytany o opinię Jarosław Kaczyński. Ale czy to jest dobra decyzja? – nalegali dziennikarze. To jest jego decyzja, nie moja – odrzekł oschle prezes. Oj, Mateusz, masz przejebane wszechstronnie.*

Donald Tusk przedstawił w Brukseli priorytety polskiej prezydencji. Przemawiał długo i głównie strasznie: że trzeba się zbroić, za 5 procent PKB, od tego zależy nie tylko przyszłość Ukrainy i regionu, ale całej Europy, a nawet całego świata, takiego jaki znamy, bo trzeba bronić naszych granic, naszego terytorium, naszego bezpieczeństwa, albowiem jeśli demokracja ma przetrwać, a także wartości mają przetrwać, to nie może się kojarzyć zwykłym ludziom z bezsilnością, bezradnością, bo w polityce ktoś bezsilny jest złośny, jest godny pogardy. I jeszcze było o tym, że nie możemy być bezradni wobec kłamstwa, wobec dezinformacji, które stały się bronią w rękach tego, który zaatakował Ukrainę i który zagraża całej Unii Europejskiej. Premier nie zapominał też o ochronie naszych dzieci, naszych wnuków przed przemocą, kłamstwem, pogardą wobec innego człowieka. No chyba, żeby był słabym politykiem.

Jak już się wszyscy odpowiednio zeszrali, to wódcz Polski pouczył europosłów, że powinni zdobyć się w tej kadencji na wielki wysiłek deregulacji, albowiem to naprawdę będzie wasz pomnik, jeżeli będziecie potrafili zaproponować Europie wielką akcję deregulacji, bo od tego będzie zależała nasza konkurencyjność. Donald Tusk zapewne myśli, że jest bardzo cwany i sam to wymyślił, ale tak naprawdę model jest stary jak kapitalizm i został starannie opisany w 2007 r. przez Naomi Klein w „Doktrynie szoku”: wykorzystajmy kryzys – wojnę, powódź, trzęsienie ziemi – i związanie z nim przerażanie i bezsilność obywateli, aby zlikwidować demokratyczną kontrolę nad wielkim biznesem, uwolnić zyski z kapitału, odebrać ludziom prawa konsumenckie i pracownicze, sprywatyzować co się da. Premiera Rzeczypospolitej spotkał jednak afront. Nie dość, że sala była umiarkowanie porwana jego przemową, to jeszcze w imieniu Komisji Europejskiej wystąpiła niejaką Dubravka Šuica, komisarzka ds. regionu śródlądowego, wcześniej burmistrz Dubrownika, która nawet nie uznała okazji za godną umycia włosów. Ta zniewaga krwi wymaga. Od Ursuli naturalnie.

Kampania wyborcza pod pełnymi żaglami. Rafał Trzaskowski pojechał do Białogardu na Dzień Babci. Zapytany przez dziennikarzy o topniejącą przewagę nad Nawrockim wybrał z wdziękiem Barysznikowa: *Panie redaktorze, mnie najbardziej ciekawi, co mówią dzisiaj nasze babcie i nasi seniorzy; to jest dla mnie dużo ważniejsze niż niejeden sondaż i dzisiaj naprawdę czuję się bardzo dobrze, bo dzisiaj mieliśmy fantastyczne spotkanie, prawda? Taaaak!* – potwierdziły chórem babcie. Słodkie.

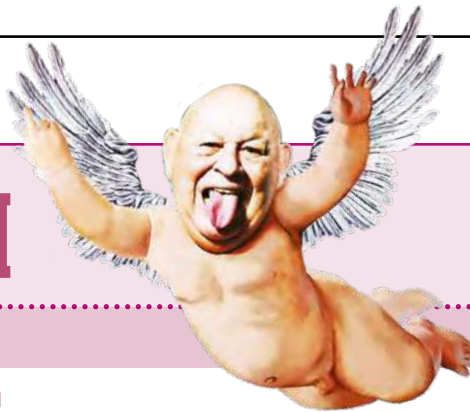
Z kolei Karol Nawrocki pojechał do Zakopanego, gdzie zadano mu pytanie cokolwiek trudniejsze: *Jesteśmy 150 m od pomnika „Ognia” i jeszcze raz chciałem zapytać: czy pana zdaniem to był bohater, czy jednak osoba kontrowersyjna*. Nawrockiemu zabrakło wdzięku Barysznikowa, ale wił się jak piskorz. Zacytujemy w całości, może Państwo coś z tego zrozumieją: *O Józefie Kurasiu „Ogniu”, który przez wiele lat służył Rzeczypospolitej Polskiej, który był polskim żołnierzem i polskim patriotą, w Instytucie Pamięci Narodowej powstała bardzo ważna publikacja pana doktora Macieja Korkucia: właściwie jedyna biografia, która w sposób analityczny, naukowy opisuje szeroko życie Józefa Kurasia „Ognia”, który służył Rzeczypospolitej. A ta służba, jak wiemy, miała wiele wymiarów i przed rokiem 1945, i po roku 1945... Ta publikacja, w moim uznaniu, wyczerpuje w sensie naukowym cały ten temat: pokazuje, jak trudne były losy polskich żołnierzy, polskich patriotów, w czasie gdy dwa totalitaryzmy, niemiecki narodowy socjalizm i sowiecki komunizm, chciały zniszczyć Rzeczypospolitą Polską, a Józef Kuraś „Ogień” walczył o to, aby tak się nie stało. No dobra, ale można było służyć Rzeczypospolitej mordując żydowskie dzieci ocalałe z holokaustu, czy to jednak jest kontrowersyjne?*

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Styczeń 2013 r.



Świętego Remi

Udział w orkiestrze Owsiaaka wielu dzieciom i ludziom poprawia samopoczucie. Politykom nawet nadmiernie. Np. Czarzasty z SLD oddał na licytację znoszony sweter, ale przynajmniej własny. Natomiast prezydent Polski kazał zlicytować pobyt w państwowym pałacu w Wiśle oddanym mu do użytku. Czyli uprawia dobroczynność na koszt państwa i bez żadnej swojej niewygody. Komorowski ma bowiem trzy razy więcej pałaców i innych rezydencji niż prezydent USA. Komorowski obiecywał zrezygnować z mało używanego pałacu w Wiśle. Gdyby teraz oddał Orkiestrze do zlicytowania cały pałac, a nie tylko pobyt w nim, Owsiaak zebrałby od razu dwa lub trzy razy więcej, niż dostał od kwestorów w całym kraju.

Świętego Marcela

W trakcie towarzyskiej dyskusji o moim niepatriotyzmie przedstawiłem hipotezę, że Bóg jest Polakiem.

Moje argumenty:

- Nie goli się – jak red. Najsztub.
- Raj był w Polsce. Dowodem to, że wąż podał Ewie jabłko, a nie mandarynek lub banana.
- Bóg stworzył Ewę z zeberka, a nie np. ze szczypty mózgu. Zeberka utwardzone na grillu to wyłącznie polski pomysł.

– Szybkie spartolone inwestycje.

Bóg wszystko stworzył w niespełna tydzień, ale co to za robota. Ziemia pęka jak lotnisko w Modlinie, co powoduje trzęsienia i tsunami. Dwunożnych nie może utrzymać ich kręgosłup, a w ciało wbudowany został rak. Krowa sama nie umie się doić, choć została stworzona dla mleka.

– Wzorując się na polskich służbach, Bóg wszystkich podgląda i podsłuchuje.

– Syn jest prezesem spółki Chrześcijaństwo. Jak ona upadnie, Bóg ogłosi się Allahem albo schowa w Starym Testamencie. I odda polski paszport.

Świętej Roseliny

Telewizje zawsze pokazywały smętnie rozbite samochody i odprasowanych policjantów mówiących banały, że trzeba uważać, dostosowywać, przestrzegać. Nagle ta policyjna telewizja zaczęła wyrażać interesy piratów drogowych. Atakuje w sposób zmasowany kamery od mierzenia szybkości i dawania mandatów. Przecież gdy ktoś przestrzega przepisów, to mu dynda, czy są kamery i gdzie. Teoretycznie tacy istnieją.

Okazało się, że dla publiczności owe kamery to najbardziej pasjonujący temat. Wniosek: zdjąć wszystkie kamery, bo lepiej zabijać ludzi niż poziom publicznej debaty.

Świętego Prisca

Przeczytałem książkę brytyjskiego historyka Fräsera J. Harbutta „Jałta 1945”. Wynika z niej, że już w 1942 r. Wielka Brytania zaakceptowała obecną granicę wschodnią Polski. Wkrótce też uznała całą Europę Środkowo-Wschodnią za strefę wpływów radzieckich w zamian za uznanie przez Stalina Europy Zachodniej domeną brytyjską.

Po Jałcie na początku 1945 r. mocarstwa anglojęzyczne rozpoczęły spór z Moskwą o ustrój wewnętrzny Polski, demokrację, skład rządu, wolne wybory, autonomię wewnętrzną, co o tyle było bez sensu, że w Polsce stały wielomilionowe wojska radzieckie – czynnik raczej decydujący.

Piszę o tym, jak huczny był początek Polski Ludowej, która stała się pępkiem świata, żeby dla kontrastu wspomnieć jej likwidację. Zostawszy w 1989 r. premierem, Tadeusz Mazowiecki przez dwa miesiące kompletował swój rząd. W tym czasie poprzedni premier Mieczysław Rakowski był I sekretarzem KC PZPR. Wysłał mnie jako osobistego przedstawiciela do kierownika radzieckiej polityki zagranicznej sekretarza KC KPZR Falina. Uspokajałem go co do biegu wypadków w Polsce i rozkładu wpływów w przyszłym rządzie.

Mówilem, mówiłem, Falin słuchał ze znużeniem i nie miał pytań. Po powrocie informowałem: Związku Radzieckiego już nie obchodzi Polska, jej rząd i ustrój. A w każdym razie opinii PZPR.

Kontrast radzieckiej polityki wobec Polski u kołyski PRL i u jej grobu wydaje mi się smaczkowity. Polska jako strefa radzieckich wpływów była jednym pościąganiem ołówka nakreślona i skreślona.

Świętego Mariusza

Zawsze wyłączałem telewizor, gdy zaczynają się wiadomości sportowe. Wyjątkiem wyścigi samochodowe. Nie dlatego, że mnie kręca pędzące i warczące auta. Czekam na krakę i trupa jako należną widzom puentę. Kiedy się wszystko dobrze kończy – czas stracony. Jeszcze lepiej, jak z któregoś z warchających samobójców zostanie krwawe resztki. Wtedy publiczność zachwycą się połamaniem składanym do kupy na jej koszt i liczy miesiące i lata, niecierpliwie się, kiedy bohater znów zacznie wyścigi, żeby zabić się dośzczętnie.

Gdyby byki dobrowolnie zgłaszały się na korridę, chyba by z nimi porozmawiał psychiatra zwierzęcy.

□



PRASA ŚNIADANIOWA

- **Sebastian Kaleta** zarzucił Rafałowi Trzaskowskiemu, że sadi niemieckie drzewa. A PiS wolałby kalinke.
- **Prezydent ZELEŃSKI** poradził kandydatowi Nawrockiemu by ten już zaczął ćwiczyć. Najlepiej zacząć ćwiczyć na boomboxie.
- Portal fronda.pl alarmuje, że **Niemcy** zmagają się z ubóstwem. To naturalna sinusoida, w zeszłym tygodniu Niemcy zmagali się z wysokim PKB.
- **Patryk Jaki powiedział**, że stypendium zostało przyznane Jasiowi Kapeli w ramach programu „uśmiechnięty narkoman”. Chyba Jaki naćpał się gazu rozweselającego.
- Jak donosi gazeta.pl **Polonia** jest zaniepokojona programem deportacyjnym Trumpa. Nie tylko Raul ma wypierdalać, Romek też.
- **Krzysztof Rutkowski** przyznał, że przy łóżku trzyma różaniec i dwa pistolety. Od tego języ się włos na głowie.

MARTA M.

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIOŚŁ

Premier RP, Donald Tusk

Sztandarową inwestycją PiSaków, czyli pomnikiem nadprezesa Placka, miał być przekop Mierzei Wiślanej i stary hanzeatycki/bałtycki port Elbląg. Jaki pożytek z wyrzucenych miliardów – widzimy wszyscy.

Potem nadprezes i spółka z bardzo nie-ograniczoną nie-odpowiedzialnością rozpoczęli marzenia o Centralnym Porcie Komunikacyjnym mając P.T.Rodaków wizją tworu większego i wydajniejszego od lotniska we Frankfurcie n/Menem.

Sądziłem, iż koalicja, która wysadziła z siodła PiSdzicką kakisrację, zaniecha tych fantasmagorii. Myliłem się. Do wyrzucenych w błoto prawie 3 mld złotych dojdą kolejne – bowiem rząd premiera

Tuska postanowił kontynuować to „wiekopomne dzieło tysiąclecia” w nieco zmodyfikowanej formie. Cóż, widać, że w miejsce pomników zburzonych należy stawiać nowe pomniki. Mam 80 lat; szkoda, iż prawdopodobnie nie doczekam finału tej kolejnej kompromitacji Najjaśniejszej.

Nie sądzę, by ta inwestycja była Najjaśniejszej przydatna. Nigdy nie będziemy Frankfurtem. Lepiej byłoby skupić się na dalszej rozbudowie szybkich dróg i unowocześnianiu kolei oraz stałej modernizacji istniejących lotnisk. Nie wydaje mi się byśmy pod względem ludności i powierzchni byli mocarstwem, które potrzebuje takiego lotniczego olbrzyma z przyległą infrastrukturą. Jako port przesiadkowy wystarczy istniejące w kraju lotnisko – tylko z odpowiednią infrastrukturą drogową/kolejową.

Z politykami tak właśnie bywa: gdy sobie coś ubzdurają, to w żaden sposób nie można ich odwieść od cudacznych pomysłów. A za te nietrafione pomysły płacimy my, podatnicy.

BARTOSZ MAJERAN

Do wiadomości: Redakcja NIE

Do pana Daniela z Legnicy

Niech rok pomoże pomyśleć, czym różni się „troszczkę” od Pańskich *urw. Czyżby te *urwy nie drażniły Pańskich uszu? Tylko w trzech czwartych połówkowej strony jest sześć razy *urwa. W całym Tygodniku „NIE” nie ma tylu *urw! Chociaż redakcja ostrzega: *Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzystojne...* Wolałby Pan, aby dziennikarze sportowi poprzedzali *urwy *urwami? Mnie też nie podobają się „troszczkę”, „w Ukrainie”, „sowiecki” itd., ale wyżej dupy nikt nie podskoczy.

H.TOBIASZ

Which Side Are You On?

Amerykański koszmar

Maski opadły. Polak w Chicago, któremu wygłasza wiza, jest „migrantem”, na którego zapolują służby Trumpa.

Ludzie, którzy nie są w stanie zalegalizować swego pobytu w USA, to zwykle osoby niezdolne.

Ich powrót do kraju nie musi być jednak twardym lądowaniem – choćby dlatego, że w 2025 r. stawka godzinowa płacy minimalnej w Polsce będzie wyższa niż stawka federalna w USA. Pracownicy zatrudnieni w Polsce za najniższą krajową zarobią ok. 50 gr więcej na godzinę, niż oferują Amerykanie. Niemal 51 mln gospodarstw domowych w USA nie osiąga dochodu pozwalającego na pokrycie podstawowych kosztów życia, takich jak czynsz, żywność, opieka przedszkolna, opieka zdrowotna, transport oraz opłacenie rachunków za telefony komórkowe.

Mimo że nasza transformacja ustrojowa była oparta na modelu jankeskim, a nie europejskim, to jednak wciąż nie mieszkamy masowo w przy-czepach i kamperach, mamy – nie najlepszy, ale jednak – dostęp do leczenia, za które nie musimy płacić, nasza młodzież nie musi do końca życia spłacać kredytów studenckich. Mamy największe w UE rozwarstwienie, ale w Stanach jest ono o wiele większe.

W jednym zaskakująco ustępujemy Amerykanom. Średnia cena za metr kwadratowy mieszkania w Nowym Jorku wynosi 92 872 zł, a w Warszawie zaledwie 16 000 zł. Nic dziwnego, że kupnem mieszkania w naszej stolicy zainteresował się Elon Musk. Słusznie. Po co przepłacać.

W Stanach służby zapolują na biedaków, którzy tam przybyli za chlebem. Mają być odesłani tam, skąd uciekli przed biedą. Brutalność i bezwzględność tego masowego polowania na kilkanaście milionów imigrantów może wyznaczyć nowe standardy.

Wpływ tego, co dzieje się za oceanem, na nasze polskie stosunki głoszą otwarcie luminarze polskiej prawnicy. Jeden z nich posunął się nawet po wiktorii Trumpa do sugestii, że w takim razie Donald Tusk powinien się podać do dymisji. Zupełnie jakby polski premier był namiestnikiem jakiejś amerykańskiej prowincji.

Logiczną konsekwencją polowania na biednych nielegalnych w USA jest wycofanie się tego kraju z WHO, Światowej Organizacji Zdrowia. Najbogatsze państwo bogatego Zachodu nie zamierza już łączyć na walkę z epidemiami i umieraniem milionów ludzi na uleczalne choroby w krajach biednego Południa. Ludzie są nieważni. Liczą się Amerykanie – i to głównie zamożni. Niezamożni będą zmuszeni podjąć nędzne posady opuszczone przez deportowanych.

USA to kraj, który nie dba o zdrowie i życie własnych obywateli. Zdrowie jest tam tak drogie, że w samym tylko 2022 r. 38 mln obywateli zrezygnowało z leczenia ze względu na jego wysokie koszty. Nic więc dziwnego, że USA nie chce łączyć na ratowanie życia ludziom w odległych zakątkach świata.

Ustanowiony po II wojnie światowej system Narodów Zjednoczonych oznaczał jakiś rodzaj partnerstwa i dialogu między narodami. Agendy ONZ takie jak WHO czy FAO – Międzynarodowa Organizacja Żywności – pozwalały społeczności międzynarodowej wspierać poszczególne kraje w radzeniu sobie z klęskami głodu czy epidemiami.

Wszystko to jednak ma teraz trafić do kosza. Bo zamiast ONZ ma być PAX Americana, nowy podporządkowany jednemu mocarstwu porządek światowy. Symbolem nowych czasów jest powstawanie – teraz już otwarcie – nowego ośrodka władzy złożonego

z oligarchów pokroju Muska czy Bezosa.

Już dziś światowe koncerty cyfrowe – big techy – kontrolują zbiorową wyobraźnię miliardów użytkowników. Prawdziwą inteligencję zastąpi sztuczna, a demokrację algorytm, służący wzmocnieniu i tak już silnej władzy bogatych nad biednymi.

Nasza prawica pieje z zachwyty. Oni demokracji nigdy nie lubili. Za to lubią, kiedy silny wódz bierze świat za mordę. Nawet jeśli ma się okazać, że to jest również ich głupia morda.

O tym, że tak może być, świadczy ograniczenie



dostępu Polski do zaawansowanych amerykańskich technologii. A także niezaprośzenie na inaugurację nowego prezydenta Stanów, polskiego prezydenta Andrzeja Dudy.

Polska może się Trumpowi przydać, jeżeli przystąpi do rozwalania, wspólnie z USA, Unii Europejskiej. Bo europejski wspólny rynek to jednak jakaś przeszkoda dla niepoohamowanej ekspansji amerykańskich korporacji.

Niedługo będziemy zmuszeni wybrać. Czy jesteśmy narzędziem USA w budowaniu oligarchicznego porządku opartego na prawie silniejszego, czy też stojemy twardo po stronie demokracji i praw człowieka.

PIOTR IKONOWICZ

Relatywna ohyda Trumpa

Despicable human being

Odrażająca istota ludzka – to już w zasadzie idiom używany przez amerykańskie lepsze towarzystwo do określenia 45. i 47. prezydenta Stanów Zjednoczonych (wrzucenie w Google – od razu pojawiają się przykłady z Trumpem). Dla porządku: nie mam najmniejszego zamiaru polemizować z tą opinią; nie mam wrażeń, żeby była ona specjalnie niesprawiedliwa.

Antyestablishmentowy miliarder

Osobistych cnót Trumpa nie będę w tym momencie omawiać – mamy na to cztery lata – odnotuję tylko z niejakim schadenfreude szybkość, z jaką zruł kamasze czempiona klasy ludowej. Prości Amerykanie, którzy postanowili zgłaszać na miliardera znanego z nieplacenia pracownikom, w przekonaniu, że będzie reprezentował ich interesy, nie zapalali się na paradę odwołaną ze względu

na „ekstremalne warunki pogodowe” (–5 °C).

Za to w samym sercu wydarzenia, w pierwszym (no, może drugim) rzędzie zasiadli: Elon Musk, Jeff Bezos i Mark Zuckerberg. Trójka socjopatów, która do kupu zgromadziła bilion dolarów, głównie metodą dymania pracowników. Moim osobistym faworytem pozostaje Bezos oczekujący od pracowników magazynów Amazona „etyki pracy”, która każe im przykryć papierem pakowym ciało kolegi zmarłego na zawał w związku z brakiem klimatyzacji (prąd kosztuje) i zakazem otwierania okien (bo kradną) – i pracować dalej, omijając trupa nie za szerokim łukiem (żeby nie wydłużać drogi między regałami). Ci faceci i tak robią w Ameryce, co chcą – ale teraz niejako zyskali oficjalną rangę oligarchii.

Co powiedziałbyś...

Bernie Sanders – bo kogóż innego mogłabym słuchać w USA – odnotowuje w tekście opublikowanym przez prawacki Fox News, że Trump prowadził kampanię w 2024 r. jako antyestablishmentowy populistyczny gotowy do walki z klasą polityczną i działający na rzecz pracujących rodzin.

Kiedy Trump będzie gotowy pójść w tym kierunku, chętnie go poprę – pisze Sanders i wymienia kampanijne obietnice Trumpa, za którymi jest gotów głosować: ustawowe ograniczenie cen leków (Amerykanie płacą za nie najdrożej na świecie); maksymalne oprocentowanie kart kredytowych na poziomie 10 proc.; wypowiedzenie umów o wolnym handlu, które prowadzą do likwidacji miejsc pracy w USA; zagwarantowanie prawa pracowników do zakładania związków zawodowych; regulacje eliminujące najbardziej niezdrową żywność. Słabo widzę realizację tych postulatów przez miliardera na usługach oligarchii, ale – jak to mówią – dajmy mu szansę...

I jeszcze jedna kwestia, o której w Polsce pisać absolutnie nie wolno – ale co mi tam, i tak jestem onuca.

Otóż Trump jest szczerym przeciwnikiem wojen. Nie zakładam, że wynika to z pacyfizmu; raczej z przekonania, że o ile przygotowywanie się do wojny – produkcja i sprzedaż, a zwłaszcza eksport broni – to świetny interes, sama wojna takim interesem nie jest. Może też ze świadomości, że wysyłanie amerykańskich żołnierzy na jakikolwiek front jest politycznym samobójstwem dla każdego prezydenta – a wojny mają to do siebie, że rozwijają się w sposób nieprzewidywalny, więc najlepszym sposobem na uniknięcie konieczności amerykańskiej interwencji zbrojnej jest zduszenie zbrojnych konfliktów. Motywacje są tu mniej ważne – ważniejszy jest efekt.

Szabas w dupie

Widzimy go już w Izraelu, gdzie po 15 miesiącach czystki etnicznej prowadzonej przez rząd Netanaju w Gazie, po wymordowaniu 47 tys. Palestyńczyków, nastąpiło zawieszenie broni. Nawet zaplecze Bidena przyznaje nieoficjalnie, że decydującą rolę odegrał w nim Steve Witkoff, specjalny wysłannik Trumpa na Bliski Wschód, a prywatnie jego kumpel od góla.

Trump oficjalnie głosi narrację jednoznacznie proizraelską – ale kiedy Witkoff dołączył do zespołu negocjacyjnego wysłanego przez Bidena, negocjacje stały się dużo twardsze. Administracja Bidena nie miała żadnej pozycji negocjacyjnej, bo Izraelczycy wiedzieli, że USA ostatecznie ugnę się pod każdym ich żądaniem – ocenia Mike Casey, były urzędnik bidenowskiego departamentu stanu, który zrezygnował w protestie przeciwko bezczynności demokratycznej władzy wobec masakry w Gazie. Kiedy w kluczowym momencie negocjacji Witkoff (który sam jest Żydem) zażądał spotkania z Netanjahu i usłyszał od jego

asystenta, żeby przyjechał jutro, bo jest szabas – odrzekł, że gówno go to obchodzi. Netanjahu pokornie przyjął wysłannika Trumpa.

Druga wojna, która naprawdę musi się już skończyć – to oczywiście wojna na Ukrainie. Trump wyraźnie nie podziela obowiązującego na kolektywnym Zachodzie przekonania, że wysyłanie coraz większej ilości broni w sferę konfliktu zbrojnego jest drogą do pokoju.

Nie mam wątpliwości, że zatrzymanie pomocy dla Ukrainy jest podyktowane głównie chęcią cięcia wydatków – ale, znów, intencje mniej mnie obchodzą. Ta wojna trwa już trzy lata, widać wyraźnie, że nikt jej nie wygra, ludzie giną każdego dnia – i zmuszenie obu stron do rozpoczęcia realistycznych negocjacji jest najpilniejszym zadaniem polityków.

Realistycznych – czyli nieopartych na żądaniach Zełenskiego, który oczekuje zwrotu Krymu i całego Donbasu, a co już nikt na świecie nie wierzy. Osobiście podejrzewam, że prezydent Ukrainy też nie; a już na pewno nie wierzą w to jej obywatele, coraz powszechniej opowiadający się w sondażach za jak najszybszym zakończeniem wojny, nawet kosztem ustępstw terytorialnych. Trump, uważający się za mistrza dealu, sądzi najwyraźniej, że on jakiś deal będzie w stanie wynegocjować, nie startując z pozycji „wszystko albo nic”. Dla dobra Ukrainy i Rosji mam nadzieję, że się nie myli.

Utracjusze dobrobytu

Jim Sciutto, pracownik administracji Obamy, a później komentator CNN – słowem, nierepublikańsin – w książce zatytułowanej „Teoria szaleńca: Trump bierze się za świat” pisze, że prezydent USA jest nieprzewidywalny w każdym wymiarze, poza jego autentycznym brakiem pragnienia pełnometrzowej wojny – nuklearnej czy jakiegokolwiek innej. Ostatnia rzecz, której by pragnął, to żołnierze amerykańscy w jakiegokolwiek strefie konfliktu.

Trump mówi to samo i – jakkolwiek dziwne by to brzmiało – ja mu wierzę. Może dlatego, że mówi to spontanicznie i cokolwiek bełkotliwie. W jednym z wystąpień w dniu inauguracji, w dziwacznym ataku na Liz Cheney i Adama Kinzinger – byłych republikańskich polityków, którzy wsparli Kamalę Harris – Donald mówił: *Kiedy nie chcesz zabijać ludzi na wojnach, to się zwracają przeciwko tobie. Liz Cheney po prostu nie może znieść konceptu, że nie wyruszamy na wojnę z całym światem: zabijamy wszystkich, wydajmy kupę pieniędzy na sprzęt wojskowy... Wiedzie, gdzie jej ojciec pracuje...*

Notabene: Liz Cheney jest córką Dicka Cheney, oficjalnie zastępcy, a tak naprawdę zarządcy prezydenta George’a W. Busha. Cheney – którego majątek, oceniany na jakieś sto baniek papieru, pochodzi głównie z pensji i premii, jakie otrzymał jako szef korporacji Halliburton – był głównym architektem wojny w Iraku. W ramach przygotowań do tej wojny Halliburton dostał kontrakt na 7 mld dolarów, w przetargu, w którym wystartował jako jedyny.

Wiedzie co? W tej sprawie jestem z Trumpem. Nie wyruszajmy i nie zabijajmy, zwłaszcza w interesie Dicka Cheney’a i innych beneficjentów fabryki śmierci.

Nie jestem z nim oczywiście w sprawie wydatków na NATO – zwłaszcza że rozumie je jako wydatki na zakup broni w Ameryce. I oburza go, że Europa woli wydawać na coś innego – np. edukację, opiekę zdrowotną, pomoc społeczną, emerytury i renty. Doradca prezydenta Peter Navarro przedstawia Sciutto tok myślenia Donalda Trumpa w następujący sposób: *Od zawsze zapewniamy Europie parasol bezpieczeństwa, ale Europa odmawia zapłacenia swojej, uczciwej części za to bezpieczeństwo; także dlatego, że wiele rządów europejskich to rządy państw dobrobytu i po prostu nie mają pieniędzy, żeby wydać na broń, bo za dużo wydają na dobrobyt.*

Kłopot polega na tym, że myśli tak nie tylko sześciokrotnie zbankrutowany miliarder, rządzący ziemią obiecaną chciwości. Mniej więcej to samo mówił w śróde w Parlamencie Europejskim Donald Tusk, prezentując priorytety polskiej prezydencji.

W sumie zatem Trump nie jest taki ostatni.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

★ Z kronikarskiego obowiązku odnotowujemy, że 47. prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump nie spełnił pierwszej obietnicy wyborczej, tj. zakończenia wojny na Ukrainie w ciągu pierwszych 24 godzin swych rządów. Termin minął 21 stycznia o godz. 12:00 czasu waszyngtońskiego (18:00 czasu polskiego). Na niespełnienie reszty obietnic pozostały cztery lata.

★ Nowym prezydentem USA przerażony wydaje się komentator „Rzeczpospolitej” Jędrzej Bielecki: *Trump nie tylko chce rozbić Unię Europejską, jak to już robił za swojej pierwszej kadencji, promując brexit. (...) Co, jeśli nie demokracja i rządy prawa, może połączyć Zachód? Gospodarka? Trump szykuje się do wypowiedzenia Unii wojny handlowej. Obrona? Stary/nowy prezydent nie traci żadnej okazji, by uderzyć w NATO, i zapowiada szybkie porozumienie z Putinem, być może kosztem Ukrainy. Krucjata przeciw Chinom? Trump zaprosił na swoją inaugurację Xi Jinpinga, ale nikogo z oficjalnych przedstawicieli UE. Może więc liczy na porozumienie*

z Chińczykami kosztem Europy? Na razie nie bardzo więc widać, co mogłoby połączyć w czasach Donalda Trumpa Zachód. Skoro Zachód się rozpadła, może czas – za radą Maksa z „Seksmsi” – iść na wschód, tam musi być jakaś cywilizacja!

★ Andrzej Kublik na łamach „Gazety Wyborczej” referuje: *W przeddzień zaprzysiężenia Donalda Trumpa dziennik „The Washington Post” (...) napisał, że według europejskich i amerykańskich służb wywiadowczych uszkodzenia podmorskiej infrastruktury na Bałtyku wynikają z wypadków, a nie są aktami sabotażu. I nie ma dowodów wskazujących na winę Rosji w tych przypadkach – jak powszechnie podejrzewają położone nad Bałtykiem państwa NATO. Przez uprzejmość nie zacytujemy artykułu, w którym ten sam autor rozpisywał się o rosyjskim sabotażu na dnie Bałtyku.*

MAREK SANOWSKI

ukraina.tygodniknie@gmail.com

Warszawa w korku, Ukraina w ogniu

Czy można już szczerze rozmawiać o wojnie i pokoju?

W minionym tygodniu Warszawa doświadczyła paralizu, a kierowcy – zbiorowego szaleństwa. Powodem tego zamieszania była paradna kawalkada 22 wozów policyjnych, wojskowych i dyplomatycznych, która przetoczyła się przez miasto niczym pancerna gąsienica, zatrzymując ruch na długie godziny. Trasa procesji, rozciągająca się w pewnym momencie od Pomnika Lotnika do GUS-u, stała się areną klaksonowego koncertu, którego echa niósł wiatr aż do Kijowa i Moskwy. Uwięzieni w korkach kierowcy wyrażali swój entuzjazm w sposób niecodzienny, a pasażerowie pancерnej kolumny, wzruszeni polską gościnnością, ronili łzy... które zamarały im na policzkach.

Te niezapowiedziane perturbacje spowodowane były wizytą ważnego gościa, hybrydy Churchilla z Chaplinem, chodzącego w zielonym dresie Wołodymyra Zełenskigo, który przybył do Polski w kilku ważnych sprawach, choć tak dokładnie nie wiadomo jakich.

Wołodymyr straszy i żąda

Po pierwsze Zełenski chciał nam uświadomić, że jeżeli nie on, to Rosja rozdepcze nas jak muchę. Po drugie, kazał nam zbroić się na potęgę, bo pokój przez zbrojenia się buduje. Po trzecie, zdaniem Zełenskigo, dobrze by było, aby NATO przyłączyło się do Ukrainy, a Ukraina do NATO, żeby wojna rozlała się na całą Europę, a nie była jakimś tam konfliktem lokalnym. No i przyjąć musimy ukraińską gospodarkę – która jest w remoncie od trzech dekad – do Unii Europejskiej, żeby narzekania naszych rolników na importy ukraińskiego zboża były zupełnie bezpodstawne. Pojawia się też ta drażliwa kwestia ekshumacji – chociaż nie wiadomo po co, skoro książdz Tadeusz Isakowicz-Zaleski nie żyje i komu jest to w ogóle do czego potrzebne?

Chyba już nadszedł czas, a może i nie, żeby rzec otwarcie, bez obawy o publiczne ukamienowanie, że Ukrainą rządzi człowiek, który udowodnił, że od grania prezydenta w serialu do bycia prezydentem w realu droga jest krótsza, niż się wydaje. Jego życie to scenariusz na film, tyle że napisany przez Quentin Tarantino na kwasie. Z jednej strony, bohater narodowy, symbol oporu wobec agresora; z drugiej – polityczny nowicjusz, który uczy się fachu w trakcie jazdy, a samochód pędzi 200 km/h po wyboistej drodze. Jego myślenie to mieszanek patosu, humoru i grozy, a jego styl rządzenia można by nazwać improwizacją kontrolowaną. Sytuacja śmieszna jak pogrzeb teściowej, gdyby nie ten drobny szczegół, że codziennie tysiąc osób idzie do piachu, a w tragikomedii zaangażowany jest kolos uzbrojony po zęby w atomowe grzechotki.

Co gorsze, po wszystkich stronach zimna kalkulacja zastąpiona została przez gorące emocje; nadal pamiętamy te dwa miliony ukraińskich ko-

biet i dzieci, które przekroczyły Polską granicę, by uciec przed bombami. Przykro nam – to zbyt delikatne określenie – ale zrobiliśmy, co należało i co ześmy mogli.

Pora jednak już zrozumieć, że wojna na Ukrainie to nie nasza wojna. Nawet Duda kiedyś to podkreślał. Niestety, od deklaracji o naszej neutralności wiele się zmieniło, głównie dzięki Zełenskiemu, który jednych zachwyca, innych wkurza, a jeszcze innych bawi do łez. Ten światowy podróżnik straszny wszystkich ruskim niedźwiedziem, szantażuje emocjonalnie, grając na współczuciu dla Ukraińców, i próbuje wmówić światu, że tylko on ma rację. Kto się nie zgadza, ten agent Kremla.

Ile miliardów dla Ukrainy? Duda miesza w liczbach

Ostatnio kancelaria prezydenta Dudy, niczym paw rozwijający ogon, rozwinięła arkusze kalkulacyjne, dowodząc, że jesteśmy najhojniejszymi darczyńcami wspierającymi Ukrainę. Dane w prezy-

denckim raporcie są nieprecyzyjne – pewnie po to, żeby zmylić rosyjskie służby – ale wynika z niego, że dajemy na wojnę z Rosją najwięcej na świecie w przeliczeniu na PKB. Nominalnie przebijają nas tylko Amerykanie. Zasponsorowaliśmy Ukraińcom przykładowo 100 mln kulek karabinowych do zabawy w wojnę z Rosją, co zapewne nie rozbawiło cara Putina.

Ale spójrzmy na inne liczby. W kwietniu 2023 r. – po roku wojny – minister finansów Rzeczkowska uważała, że całkowita kwota polskich wydatków na Ukrainę wynosi do 2 proc. PKB, tj. ok. 50 mld zł. Teraz prezydent twierdzi w swoim raporcie zupełnie co innego. Mianowicie, że pomoc Ukrainie kosztowała Polskę prawie 5 proc. produktu krajowego brutto, na kilku różnych polach. I tu informacja się kończy – a nie powinna.

Nie wiadomo, czy chodzi o rok 2024, czy może o 2023; a może te 5 proc. PKB to suma za rok jeden i drugi do kupy, a Rzeczkowska podawała dane dotyczące tylko roku 2022?

Wartość PKB w 2023 r. GUS oszacował na 3,41 bln zł. 5 proc. to ponad 170 mld zł.

50 mld zł w 2022 r., 170 w 2023, a w 2024 – ile, zważywszy że wzrost wyniósł może 2,7, a może 2,9 proc.? Wygląda na celową ściemę.

A pan katolik Duda (któremu przypominamy o lewej ręce niewiedzącej, co czyni prawa) dalej precyzuje...

Z prawie 800 czołgów, które otrzymała Ukraina, ponad 350 pochodzi z Polski. Wsparliśmy też ukraińskie siły powietrzne, przekazując 14 samolotów (najwięcej ze wszystkich państw) i 12 śmigłowców (więcej tylko Ukraińcy dostali od USA). Do tego dziesiątki dronów rozpoznawczych i setki dronów kamikadze. Zapewniliśmy też łączność internetową, dostarczając 20 tys. zestawów Starlink i finansując ich utrzymanie. W polskich zakładach serwisujemy czołgi Leopard, T-72, PT-91 i Kraby, których Ukraina używa na froncie, a które dostała w prezencie albo kupiła na kredyt, choć pewnie nigdy go nie spłaci. Ot, taka nasza hojność.

Pozbyliśmy się starego sprzętu, więc trzeba było kupić nowy. Koreańskie haubice i samoloty, amerykańskie czołgi i samoloty – to wszystko kosztowało, według niepełnych danych (skąd kasa i jakie odsetki?), 40,5 mld zł w 2023 r. i ponad 52 mld w 2024. Do tego normalny budżet MON – 111,2 mld zł w 2023 r. i 118,14 mld w 2024.

Krótko mówiąc, pomoc Ukrainie kosztowała nas kilkaset miliardów złotych – może 300, a może 500, nikt nie wie, a jak wie, to nie powie. Tak dla

porównania: ZUS w 2023 r. wypłacił 319,5 mld zł na emerytury i renty. Średnia emerytura wynosi 3,5 tys zł. Gdyby państwo polskie zamiast na wojnę wydało te miliardy na seniorów, mogłaby dobić do piątki. Tak tylko mówię.

Czas na rozsądek, może być nawet chory

Nasza polityka zagraniczna to fikcja. Albo jej nie ma, albo jest tak fatalna, że lepiej, żeby jej nie było. Rozsądek podpowiadał, że w naszym interesie było dbanie o pokój i spokój sąsiadów. Ta powinność została zaniedbana w najlepszej wierze, bo przecież nie można ingerować w niezawisłość suwerennych państw. To ciekawe stanowisko: że, no, nie można było w trakcie pokoju, ale teraz, w czasie wojny, jesteśmy liderami ingerencji i wtrącania się w cudze sprawy.

Kochani, dość tej wojny! Potrzebny nam pokój, i to szybko. Wiem, że to oznacza wyrzeczenia, utratę pozycji, pokorę, a nawet ślepotę na zło. Ale co tam, jakoś to będzie. Grunt, żeby przestały latać pociski. A potem możemy się klócić dalej.

W końcu trzeba prezydentowi Zełenskiemu zacząć tłumaczyć, że tak naprawdę nie do końca rozumiemy historię ukraińskiego małżeństwa i rozwoju z Rosją, która w naszym oglądzie momentami przypomina brazylijską telenowelę. Ze z tą ukraińską ekonomią, która jest jak stara Łada – niby jeździ, ale co chwila coś się psuje – to do europejskich standardów spójności droga daleka. Że ta ich jednolizbowa demokracja, w której raz rządzą prorosyjscy oligarchowie, raz proeuropejscy demokraci, a czasem po prostu ktoś, kto dał największą łapówkę, nie spełnia jednak standardów prawnych Traktatu z Maastricht. No i w końcu, że jeżeli USA wypiszą się z NATO – czym straszy Trump – nie będzie ono już takim strażnikiem bezpieczeństwa i gwarantem wojennej chwały, jak to się dotychczas wydawało.

Trzeba też jasno powiedzieć, że Ukraina to niezależny kraj i skacząc z rosyjskiej patelni do zachodniego ognia, może się poparzyć. A przy okazji wspomnieć, że termin wyborów prezydenckich na Ukrainie dawno minął, a ich jak nie było, tak nie ma.

Że może warto byłoby poddać kierunki polityki obecnych władz ludowej weryfikacji i osądowi.

Zełenski zapewnia, że możemy zawiesić broń jeszcze w tym roku, o ile Unia trzykrotnie zwiększy produkcję broni i militarny pragmatyzm. Brzmi to mało logicznie. Podobnie jak jego pomysł, że żadne kontakty z Rosją nie mogą się odbywać bez Ukrainy. I że każdy, kto rozmawia z Rosją za plecami Ukrainy, powinien oberwać.

Nie może być tak, że tylko Zełenski ma monopol na prawdę w sprawach polityki – i tej wewnętrznej, i tej zagranicznej, i unijnej, i światowej. Bo zaczyna przypominać Putina, z którym też nie da się dogadać.

Chociaż w jednym się z nim zgadzam. Zełenski powiedział w Warszawie, że Zachód nie rozumie wielu prostych rzeczy. Jasne jak słońce o północy.

ROBERT JARUGA



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Pożegnanie Swiridowa

Lonia

– Redaktor Sanowski? – spytał, gdy dostrzegł mnie tego lata na moskiewskiej stacji metra Majakowska. Choć korespondowaliśmy od dłuższego czasu, wówczas spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Odkąd rozpocząłem pracę w redakcji, słuchałem opowieści Agnieszki Wołk-Łaniewskiej o wyjazdach z Lonią do Rosji. Oraz zapewnień, że nie ma drugiej takiej promenady jak w Soczi, a Lazurowe Wybrzeże jest przereklamowane. Kolejni bywalcy ówczesnych wyjazdów (choć niektórzy wolą dziś o Loni – oskarżonym przez Polskę o szpiegostwo – nie wspominać) potwierdzali wersję Agnieszki. Zobaczyli Rosję nieznaną Polakom, a uśmiech Loni otwierał każde drzwi, nawet do gabinetu I sekretarza KC Ko-

munistycznej Partii Federacji Rosyjskiej, Gienadija Ziuganowa.

Gdy Lonia dowiedział się, że jadę na Krym – najtańszym pociągiem w trzeciej klasie, a żeby poznać zwykłych Rosjan – był zachwycony. *Też tak podróżowałem po Związku Radzieckim, zanim go nie rozgrabili. Na placarkie najlepiej – zakrzyknął.*

Po 1990 r. Lonia dalej podróżował, już za granicę. Choć z wykształcenia był inżynierem matematykiem, odnalazł się jako dziennikarz. Został korespondentem rosyjskiej telewizji państwowej na Białorusi, gdzie zastał go rozpad ZSRR – ale to, co pisał i mówił o Łukaszence, sprawiło, że musiał wypodróżować z Białorusi i dla bezpieczeństwa przyjąć rosyjskie obywatelstwo. Później były korespondencje z Macedonii podczas wojen jugosłowiańskich i z czeskiej Pragi. W międzyczasie Lonia zmienił pracę – z telewizji przeszedł do agencji RIA Nowosti – jak mówił, *była na państwowym. Prywatne firmy są dla młodych, ja jestem człowiek radziecki.*

Z RIA Nowosti wiąże się najpiękniejszy – jak wspominał – okres jego życia. W 2003 r. objął placówkę w Warszawie. Po kilku latach

w stolicy znali go niemal wszyscy – politycy od Marka Belki przez Waldemara Pawlaka po Andrzeja Leppera, dziennikarze z każdej poważnej redakcji, postacie ze świata kultury, m.in. Barbara Brylska, którą odwiedzał co roku przed sylwestrem. Każdy rosyjski dziennikarz przyjeżdżający do Warszawy w pierwszej kolejności szedł do Loni. Bo Lonia załatwiał mieszkanie, mówił, gdzie są najlepsze knajpy, oraz aranżował spotkania w zasadzie z każdym.

W 2014 r. Lonia zorganizował wystawę zdjęć swojego przyjaciela – fotoreportera Andrieja Strienina zastrzelonego podczas wojny w Donbasie przez ukraińskiego żołnierza. Wystawa przeszła bez echa, ale Lonia zorganizował ją podczas warszawskiego szczytu OBWE w tłumnie odwiedzonym przez zagraniczne delegacje stołecznym hotelu Victoria. *To świetny dziennikarz, cenimy jego teksty, są kompetentne i życzliwe wobec Polski* – mówił „Wyborczej” urzędnik MSZ, ale za organizację wystawy Tusk się wściekł. A jeśli nie Tusk, to przynajmniej jego kardynał Richelieu i szef MSZ Grzegorz Schetyna. To wtedy ponoć zapadła decyzja o wydaleniu Loni za szpiegostwo. Pojawiły się zarzuty, jakie konkretnie – nie wiadomo, bo wszystkie materiały w śledztwie utajniono. Szpiega powinno się aresztować,

ale oskarżonemu o szpiegostwo Loni kazano po prostu wyjechać. W odwecie Rosja wydalila korespondenta „Gazety Wyborczej” Wacława Radziwinowicza.

Po wyrzuceniu z Polski Lonia schudł, postarzał się, ale nie stracił pogody ducha. Mieszkając w Moskwie, wciąż pracował dla RIA Nowosti i organizował wycieczki dla polskich dziennikarzy po Rosji. Czytał polską prasę i oglądał polską telewizję. Podczas mojej wizyty w Moskwie wciąż cytował polskich polityków, wspominał rozmowę z Leszkiem Millerem o moskiewskim metrze i narzekał, że od kiedy umarł Andrzej Lepper, polska polityka stała się cholernie przewidywalna.

Kiedyś była taka partia Polska Jest Najważniejsza, a teraz kolacja jest najważniejsza! – oznajmił, gdy szwendaliśmy się po centrum Moskwy, i zaprowadził mnie do restauracji Grabli nieopodal metra Nowokuznieckaja. *W zasadzie to jest taka prestiżowa stołownia, z samoobsługą i oschłymi bufetowymi, ale mają tu naprawdę niezłe jedzenie. A redaktor Wołk-Łaniewskiej najbardziej podobalo się, że w przeciwieństwie do większości stołówek sprzedają tu również dobre wino* – opowiadał Lonia, a salatką z ozorów i krymskie wino były faktycznie wyborne.

Dlaczego Tusk wypiął się na Międzynarodowy Trybunał Karny?

Dybuk restytucji

Sprawa gwarancji bezpieczeństwa dla ściganego przez Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze Netanjahu pokazuje, że polski rząd naprawdę szykuje się na kolejną kadencję Donalda Trumpa. Faceta miłującego zarówno Naród Wybrany, jak i tego narodu synów tudzież własnych zięciów. Dmuchanie na zimne w kwestiach polsko-żydowskich zacznie mieć wielkie znaczenie, gdy nasz kraj przestanie być dla USA ważnym hubem przerzutowym uzbrojenia dla Ukrainy. Ukraina nie będzie wszak tym, co spędza Trumpowi sen z powiek. W przeciwieństwie do kasy, którą Trump lubi najbardziej. Kasy, na którą amerykańscy obywatele pochodzenia żydowskiego ostrzą sobie zęby od lat.

Dobre, bo peerelowskie

Przerabialiśmy to już za poprzedniej prezydentury Trumpa. W 2018 r. na biurko Morawieckiego przyszło ze Światowej Organizacji Restytucji Mienia Żydowskiego wyliczenie opiewające na 300 mld dol. Polska, zdaniem amerykańskiej organizacji, winna tyle zapłacić za to, co niegdyś było żydowskie, a po II wojnie światowej zostało przejęte przez państwo polskie.

Sprawy te wracają, ilekroć w polskim parlamencie pojawia się projekt ustawy reprivatyzacyjnej. Gdyby kolejne rządy po roku 1989 były mądre i przestały kombinować nad zwrotem dóbr rozparcelowanych i znacjonalizowanych, to aby wysłać na drzewo zarówno powiernictwa pruskie, jak i roszczeniowych Żydów, wystarczyło przywołać dekret 8 marca 1946 r. Stanowił on o majątkach opuszczonych i poniemieckich. Mówił zaś, że *przechodzi na własność Skarbu Państwa wszelki majątek Rzeszy Niemieckiej i byłego Wolnego Miasta Gdańska – z wyjątkiem osób narodowości polskiej lub innej, przez Niemców przesiedlowanej (...)* Osobie, która w związku z wojną rozpoczętą 1 września 1939 r. utraciła posiadany majątek, należy na jej wniosek przywrócić posiadanie tego majątku (...). Wnioski o przywrócenie posiadania w trybie przewidzianym w niniejszym dekrete można składać do dnia 31 grudnia 1947 r.

Dekret co prawda wykluczał zwrot biznesów, które podlegały nacjonalizacji, ale komuniści byli na tyle przewidujący, że przez następne lata sukcesywnie zabezpieczali Polaków przed roszczeniami, podpisując z różnymi krajami stosowne umowy. Łącznie na odszkodowania za mienie obywateli obcych państw pozostawione lub znacjonalizowane po wojnie w Polsce PRL zapłaciła 250 mln dol. Dzięki temu stosowne odszkodowania byłym właścicielom wypłacały już ich własne rządy.

Umowa ze Stanami gwarantowała, że amerykańscy Żydzi mogą Polsce w świetle prawa międzynarodowego naskoczyć. Wynika to z zapisu, że *po wejściu w życie tego układu Rząd Stanów Zjednoczonych nie będzie przedstawiał Rządowi Polskiemu ani nie będzie popierał roszczeń obywateli Stanów Zjedno-*

zonych do Rządu Polskiego. Jeszcze lepszy jest inny fragment: *Gdyby roszczenia takie zostały bezpośrednio przedłożone przez Obywateli Stanów Zjednoczonych Rządowi Polskiemu, Rząd Polski przekaze je Rządowi Stanów Zjednoczonych.*

Żydzi byli tych uregulowań świadomi i dlatego po 1989 r. o restytucji mienia z terenów Polski wspomniano tylko w kontekście majątku należącego do żydowskich gmin i organizacji religijnych.



Chodziło o szkoły, szpitale, synagogi, przedmioty kultu religijnego i dzieła sztuki.

Pierwsze nieoficjalne rozmowy społeczność żydowska rozpoczęła z przedstawicielem rządu Mazowieckiego. Proponowała wówczas sporządzenie listy obiektów stanowiących kiedyś własność zbiorową Żydów i przekazanie ich w zarząd polsko-żydowskiej fundacji, która zajęłaby się ochroną zabytków i kultury żydowskiej w Polsce. Wartość tego szacowano na kilkadziesiąt milionów dolarów.

Restytuuj się kto może

W 1993 r. sejm zaczął kwestionować prawo PRL i jął kombinować, jak oddać majątki, które zabrała komuna. Pojawił się projekt ustawy reprivatyzacyjnej. Wykluczającą w praktyce zwrot mienia żydowskiego, ponieważ warunkiem rozpatrzenia roszczeń było posiadanie lub przyjęcie obywatelstwa polskiego i zamieszkanie w Polsce.

Erozja systemu własności w Polsce wywołała błyskawiczną reakcję. Światowy Kongres Żydów i rząd Izraela podpisały umowę, dzięki którym nie musiały osobno siadać do negocjacji o odszkodowania za skonfiskowane mienie żydowskie. Umowa uznawała państwo Izrael za głównego spadkobiercę, gdy nie ma już fizycznych spadkobierców.

Prezydentujący wówczas Wałęsa niemal na każdym wyjeździe zagranicznym spotykał się z kimś ze środowisk żydowskich i grał na czas. W Polsce pojawił się sekretarz generalny SKŻ Israel Singer i molestował w kwestii restytucji mienia marszałka sejmu Oleksego i premiera Pawłaka.

Rządzący dostali też list amerykańskich polityków z żądaniem szybkiego zwrotu mienia żydowskiego pod groźbą oziębienia stosunków z Waszyngtonem.

Utworzyła się religijna koalicja Kościoła katolickiego, luteran, muzułmanów i Żydów. Cisnęła na tyle skutecznie, że w 1997 r. sejm klepnął ustawę o zwrocie majątków Kościoła katolickiego i związków wyznaniowych. Gminy żydowskie mogły zgłaszać się z roszczeniami do 2002 r. Polska przekazała mienie komunalne przedwojennych gmin żydowskich.

Wnioski o zwrot dotyczyły 5544 przypadków. W tym takich, za które strona żydowska wzięła odszkodowania choćby od Niemców. Nie przeszka-

dzało to jej jednak domagać się obiektów w Opolu, Świdnicy czy Wałbrzychu, zabranych Żydom jeszcze przed wojną – czyli na terenie Rzeszy, przez Niemców.

Dostawszy palec, organizacje żydowskie wsparły starania polskich ziemian o ustawę reprivatyzacyjną. Rząd Buzka przeprowadził to nawet przez sejm, ale Kwaśniewski wysłał ustawę na drzewo. Organizacje żydowskie, które wyliczyły, że mienie prywatne podlegające restytucji jest warte 2 mld dol., obeszy się smakiem.

Po kolejnych wyborach dyrektor wykonawczy Amerykańskiego Komitetu Żydowskiego zażądał spotkania z premierem Millerem i pouczył go, że *kwestia sprawiedliwości dla Żydów, których mienie zostało skradzione przez rządy komunistyczne, powinna zostać rozwiązana.*

Miller specjalnie się nie przejął. Zwłaszcza że Żydzi byli dla niego problemem mniejszym niż przedakcesyjne roszczenia pani Steinbach. Negocjacje z Brukselą zakończono, Polska weszła do Unii i okazało się, że peerelowskie zabezpieczenia prawno-międzynarodowe są nie do ruszenia.

Gdy w 2005 r. nastała IV RP, PiS zaczęło forsować kolejną prywatyzację. Zakładała rekompensatę pieniężną na wysokości 15 proc. wartości utraconego mienia. W Warszawie natychmiast pojawili się panowie ze Światowej Organizacji ds. Żydowskich Odszkodowań i Konferencji Roszczeń. W towarzystwie ambasadora Izraela spotkali się z marszałkiem sejmu Markiem Jurkiem i premierem Jarosławem Kaczyńskim.

Parę miesięcy wcześniej w Izraelu powstał raport przygotowany dla ministerialnego komitetu do spraw własności żydowskiej. Wartość majątku pozostawionego w Polsce przez przedwojennych właścicieli pochodzenia żydowskiego wyceniono w nim na 30 mld dol.

Pełnomocnicy stulatków

W 2007 r. PiS przegrało wybory i reprivatyzacji nie było. Ale Żydzi nie ustępowali. W marcu 2008 r. premier Tusk spotkał się w konsultacji generalnym RP w Nowym Jorku z reprezentantami SKŻ i kilku innych organizacji. Zbył towarzystwo, opowiadając, że prace nad ustawą restytucyjną ruszyły i będzie ona gotowa pod koniec roku. Nie była. Zapanował kryzys finansowy i temat został najwyraźniej uznany za niezręczny, bo sprawa na jakiś czas ucichła.

Epoka ciepłej wody w kranie nie sprzyjała wywoływaniu w sejmie kolejnej reprivatyzacyjnej awantury. Teraz o tym, co i komu się należy, decydowali urzędnicy warszawscy i sądy. Rząd nie chciał im przeszkadzać. I choć dość często reprivatyzowano dobra należące do obywateli polskich żydowskiego pochodzenia, to organizacje od restytucji mienia zadowolone nie były. Pewnie dlatego, że przed sądami w całej Polsce występowali pełnomocnicy osób pochodzenia żydowskiego liczących sobie grubo ponad 100 lat.

Kwestia mienia żydowskiego przeniosła się poza granice Polski. W 2011 r. Izrael powołał instytucję o nazwie Projekt HEART (Holocaust Era Asset Restitution Taskforce). To specjalna komisja, której zadaniem jest odnaleźć i doprowadzić do zwrotu mienia odebranego Żydom w czasie Holocaustu.

Większość państw Europy Wschodniej nie zwróciła jeszcze mienia i praw zagrabionych Żydom podczas Holocaustu – mówiła agencjom przedstawicielka rządu Izraela odpowiedzialna za program sprowadzający się do kompletowania listy zawierającej akty własności.

W lipcu 2015 r. Światowa Organizacja Restytucji Mienia Żydowskiego poprosiła 46 kongresmenów o wystosowanie do ówczesnego sekretarza stanu Johna Kerry'ego listu o interwencję i pomoc w uregulowaniu spraw majątkowych Żydów w centralnej i wschodniej Europie, obejmujących m.in. wypłatę przez Polskę organizacjom żydowskim 65 mld dol. Kongresmeni prosili o pomoc, bo *Polska, gdzie przed wojną mieszkała największa społeczność żydowska, nie posiada żadnego prawa regulującego własność prywatną.*

Departament Stanu odpowiedział, że *dzieli obawy dotyczące powolnego postępu w kwestii restytucji oraz rekompensaty dla ofiar i spadkobierców Holocaustu. Departament Stanu czynnie wspiera restytucję oraz inne sprawy związane z Holocaustem podczas spotkań dyplomatycznych z władzami innych państw oraz publicznych wystąpień we wszystkich wspomnianych w liście krajach.* Tyle że to była nieprawda. Sądy amerykańskie cały czas hurtowo odrzucały pozwy żydowskie przeciwko Polsce. Powołując się na stare, peerelowskie umowy międzynarodowe.

Jak nie kijem, to ustawą

Jakiś czas po zwycięstwie PiS w 2015 r. Patryk Jaki ogłosił kolejną reprivatyzację. Żywnotnie zainteresowana nią była Światowa Organizacja ds. Restytucji Mienia Żydowskiego. Ale parę rzeczy jej się nie podobało. Jak choćby zapisy, które powodowały, że reprivatyzacja dotyczyła tylko polskich obywateli. No i te wykluczające zwrot nieruchomości rolnych, leśnych i przemysłowych. Brak możliwości dochodzenia swoich praw z tytułu przejęcia firm rodzinnych też się Żydom nie widział. Nie wspominając już o zapisie stanowiącym, że mienie, które nie ma spadkobierców, staje się automatycznie własnością Skarbu Państwa. A przecież – zdaniem SORMZ – pieniądze z tego tytułu należą się osobom ocalałym z Holocaustu. To właśnie stanowisko w tej sprawie zawierało wyliczenie z kwotą 300 mld dol.

Oprócz żydowskich restytutorów demony reprivatyzacyjne odżyły w ponadpartyjnej, przyjętej jednogłośnie ustawie amerykańskiego senatu z 2017 r. Ustawa nr 447 o nazwie „Justice for Uncompensated Survivors Today” (sprawiedliwość dla ocalałych, którym nie zadośćuczyniono) o zgrabnym akronimie JUST. Akt dał rządowi USA prawo do wspierania żydowskich organizacji ubiegających się o odzyskanie majątków żydowskich właścicieli, którzy nie zostawili po II wojnie światowej spadkobierców. Skutkiem ustawy było to, że PiS nie przeprowadziło żadnej reprivatyzacji, bo mogłoby się na niej obłowić Żydzi.

Poza tym rząd Morawieckiego zajął administrację Trumpa zakupem Patriotów za ciężkie miliardy. Nie do końca się to udało. W lutym 2019 r., podczas wizyty w Polsce, amerykański sekretarz stanu Mike Pompeo wzywał, by sprawa dotycząca restytucji mienia ofiar Holocaustu została rozwiązana. Potem jednak rzecz nieco rozeszła się po kościach, bo gdy militarny kontrakt był przyklepany, ówczesna ambasador USA w Polsce Georgette Mosbacher oświadczyła, że *ustawa JUST nie nakłada na nikogo żadnych finansowych ani prawnych obciążeń. Jest to jednorazowy raport dla Kongresu USA, którego celem jest analiza postępu prac krajów w zakresie restytucji.*

Potem zaabsorbowano Stany negocjacjami w sprawie F-35, aż zrobiła się pandemia i Trump przegrał z Bidenem. Ten na sprawy polsko-żydowskie nie miał czasu, bo sprzątał po koronawirusie, a wkrótce jego uwagę przykuła agresja Putina na Ukrainę. Polska była potrzebna jako hub logistyczny i nie było jej sensu wkurzać mieniem polsko-żydowskim.

Rząd Tuska wie dobrze, że restytucja należy do spraw, których nie wolno z zapomnienia wyciągać. Na szczęście Izrael zajęty jest ostatnio mordowaniem Palestyńczyków, a nie odzyskiwaniem dóbr w Polsce. Dlatego demon ten się nie ujawnia.

W polskim interesie jest, aby stan ten trwał jak najdłużej. I dlatego, kiedy w kwietniu 2024 r. do sejmu wpłynął obywatelski projekt ustawy Bąkiewiczowa o ochronie własności w RP przed roszczeniami dotyczącymi mienia bezdziedzicznego – projekt uwalono. Domagał się on wprowadzenia dla władzy zakazu podejmowania czynności zmierzających do zaspokojenia roszczeń dotyczących mienia bezdziedzicznego. Konkretnie zaś: prowadzenia negocjacji, zawierania uгод, uznawania roszczeń i powództw dotyczących takich dóbr, wypłaty świadczeń pieniężnych oraz przekazywania świadczeń rzeczowych. Za złamanie tych zakazów miałyby grozić od pół roku do pięciu lat pudła. Pomysł przepadł dlatego, że i tak niczego by w podejściu Żydów nie zmienił, a uchwalony, wyciągnąłby sprawę restytucji na światło dzienne.

Kiedy Waszyngton szykował się do intronizacji Trumpa, a kancelaria Dudy wrzuciła kwestię niearesztowania Netanjahu, odpowiedź Tuska mogła być tylko jedna. Polsko-żydowska wojna dyplomatyczna ze Stanami Zjednoczonymi o premiera Izraela nie wchodziła w grę. Misia nie wolno drażnić, ustawa 447 – damoklesowy miecz z czasów pierwszej kadencji Trumpa – kiedyś może bowiem opaść.

TADEUSZ JASIŃSKI

Po 24 lutego 2022 r. zaprzestano organizacji wycieczek dla polskich dziennikarzy po Rosji, a niektórzy znajomi przestali odbierać od Loni telefony, ale on nie tracił nadziei:

Minister Ławrow powiedział, że Europa nie interesuje nas na najbliższe pokolenie. Ale ile to jest pokolenie? 20 lat. Czyli za dwie dekady wszystko wróci do normy. Dożyjemy. Nie dożył.

Leonid Swiridow zmarł niespodziewanie 21 stycznia, miesiąc przed 60. urodzinami. Pozostanie w naszej pamięci.

MAREK SANOWSKI

Populistom twardo stoi



Prawacy kontra komunoelfy

W odzowie naszej kulawej demokracji zachodzą w głowę, jakim cudem PiS-owi stoi bez Viagry, a nawet rośnie. Nie może przecież chodzić o cuda boskie – myślą – bo my przecież też proboszczą w biedzie rzetelnie wspomagamy, więc ki diabeł w tym miesza?!

Co bystrzejsi liberałowie spostrzegli, że to populizm. Populizm daje wyniki! Nie bardzo wiedzą, o co z tym populizmem chodzi, bo myślą, że tylko o rozdawnictwo publicznej kasy, więc okładają populizmem jak kijem każdego, kto przejawia w słowie lub czynie

ludzkie odruchy społeczne. Rozdawnictwo państwowe, czyli redystrybucja, budzi ich furie. Bo jak to?! „Przecież zarobiłem, to moje – no nie?” Ale jakoś trudno batożyć bliźnich obrzydliwym dla liberałów słowem „redystrybucja”. Natomiast (eureka!!!) okazało się, że jest takie przydatne słowo jak „populizm”, więc można im przywalić populizmem.

I jest sporo w tym słuszności, bo populizm to swoista, oderwana od rzeczywistości, niebezpieczna ideologia. Ale bez zrozumienia jego istoty trudno z nim walczyć.

Źródłem populizmu i głównym motywem jest błędne przekonanie, że ludzie tworzą jakiegoś rodzaju jednorodną strukturę. Ze ogół społeczeństwa charakteryzuje się wspólnymi cechami, które je spajają. Kluczowym pojęciem okazał się naród, no i oczywiście religia katolicka.

Populiści są przekonani, że ludzie są nośnikami zbiorowych tradycji. Że mają i powinni mieć jeden wspólny interes, jednego boga albo wspólnego wroga i wspólną wersję jedynie słusznej historii.

A skoro tak, to jedynie silny wódz, dobry ojciec narodu, jest niezbędny w tej układance. Jeden lider, jeden władca – to z definicji przejaw autorytarnej struktury politycznej i społecznej. I wiele nam mówią znane z historii hasła: jeden naród, jedna idea, jedna wiara i jeden wódz. Polityka populizmu musi dostarczyć i dostarcza narodowi przywódcę. Kogoś, kto uosabia ową uproszczoną wizję jednorodnego społeczeństwa. Jakże to blisko faszyzmu, stalinizmu – blisko totalitaryzmu!

Populiści, tak jak i inni politycy, dobrze wiedzą, że aby w naszej kulawej demokracji dorwać się do władzy i przy niej pozostać, należy przestrzegać kilku zasad. Po pierwsze populiści skutecznie odnajdują silne i dość powszechnie dominujące emocje: najlepsze są te, które rozbudzają lęk, złość, nienawiść. A jeśli ludzie niczego za bardzo się nie boją i jeśli zbyt słabo nienawidzą, to jest jasne, że tak trzeba nimi zakreślić, żeby się bali i nienawidzili. Bo wtedy niezbędni okazują się populiści z całą swą ideologią jedności i siły. A wtedy sprawni politycy mogą „stanać dzielnie na czele” walki o bezpieczeństwo i spokój.

W walce o władzę narzędziem manipulacji są słowa. Najlepsze są takie, które odwołują się do złe kojarzących się stereotypów i uprzedzeń. Ważne jest też, aby nie były dobrze rozumiane i czytelnie zdefiniowane, bo wtedy można przykleić do nich potrzebny politykom kontekst i znaczenie. Obserwowaliśmy zatem, i nadal obserwujemy, polityczne ruchy tektoniczne wywołujące fale tsunami nienawiści do komuchów, gejów, Ruskich, Szkopów, transów, emigrantów i pewnie jeszcze kilku grup. To także logicznie wynikająca z tej ideologii cecha populizmu, a jednocześnie sposób na zdobycie władzy.

Przeróżające jest to, że działanie zgodne z ideologią populizmu przynosi polityczne sukcesy – i to nie tylko w Polsce. Jest oczywiste, że podglebiem stwarzającym dogodne warunki dla rozwoju tej huby jest poczucie niesprawiedliwości

i ludzkie obawy. Im więcej lęku i poczucia skrzywdzenia, tym większe zapotrzebowanie na dającą poczucie bezpieczeństwa spójność i solidarność społeczną oraz na silną „ojcowską” władzę. Skąd to skrzywdzenie i poczucie niepewności...? To całkiem inna bajka. Natomiast populizm jest niestety złudną i niosącą niebezpieczeństwo nadzieją.

Prawdziwe nadzieje odnaleźć możemy tylko w bajkach.

A zatem dla piękniejszych od rzeczywistości snów wyobraźmy sobie, że za siedmioma gwiazdami, za siedmioma czarnymi dziurami jest zielona planeta, na której żyją elfy. Elfy tylko nieznacznie różnią się od ludzi. Skomplikowana i burzliwa historia ich cywilizacji doświadczyła to społeczeństwo wieloma tragicznymi wojnami i rewolucjami. Lekcje dramatycznej historii, która skutkowałą olbrzymimi cierpieniami wielu pokoleń elfów, przyniosły efekty. Elfy zrozumiały, że warunkami szczęśliwego życia każdego elfa, a zarazem (co ważne!) wszystkich elfów, są sprawiedliwość i rzetelna wiedza. Że należy zaakceptować różnorodność elfów i szanować prawo każdego elfa do wolności. Jednak zrozumieli, że wolność pojedynczego elfa nie może ograniczać wolności innych. Przyjęli też trudną prawdę, że sprawiedliwość istnieje tylko wtedy, kiedy każdy elf uzyska bezwarunkowo możliwości materialnie godnego życia. Ale dostrzeżono także, że te elfy, które swoją pracą dadzą wspólnocie elfów więcej korzyści, muszą mieć prawo do większej części wspólnego dobra – bo tak jest sprawiedliwie. Liczyła się tylko praca. Dochody z kapitału, własności nieruchomości czy środków produkcji były zakazane.

Uzgodniono to wszystko i zapisano w ogólnoplanetarną konstytucję. Walki o władzę nie było, ponieważ bieżącym zarządzaniem zajmowały się najczęściej (poza nielicznymi wyjątkami wymagającymi specjalnych kompetencji) gremia elfów wyłanianych na określony czas drogą losowania. Populizmu ani liberalizmu ekonomicznego oczywiście nie było także.

A wszystkie elfy żyły długo i szczęśliwie.

Miłych snów

ANNA GRODZKA

Czy cenzura jest spoko?

ETYKA BEZBOŻNA

Jedyna nadzieja w zdrowym rozsądku większości

W dawnych dobrych czasach był sobie na cichej jak myszka uliczce na tyłach Alei Jerozolimskich szary jak zając pan cenzor, który dbał o to, aby w procesie wychowania świadomego członka socjalistycznej wspólnoty nie pojawiły się niepotrzebne zakłócenia, wynikające z kontaktu z wrażliwą propagandą sufłowaną przez służbów światowego kapitalizmu bądź wyolbrzymiające przejściowe trudności na jedynie słusznej drodze budowy socjalizmu. W krajach bardziej zaawansowanych w tym bezbożnym, aczkolwiek bardzo potrzebnym dziele budownictwa socjalistycznego (nie mylić ze stawianiem bloków!) cenzorzy nie byli potrzebni, gdyż każdy redaktor naczelny każdej gazety był tam odpowiedzialnie uświadomiony i samodzielnie pilnował cnoty swojej dziennikarskiej trzódki. Gdyby natomiast wróg chciał nadawać przez radio imperialistyczne treści, zrodzone w jaskiniach płatnych propagandzistów niemiecko-amerykańskiego zarządu światowego kapitalizmu, to również na to był sposób. Specjalne urządzenia produkcji radzieckiej dbały o to, aby relikty Polski sanacyjnej, nadstawiające ucha Wolnej Europie albo Głosowi Ameryki, słyszały głównie „uuuu” albo „chrrrr”. I ja się właśnie pośród takich dźwięków wychowałem, nie przypuszczając nawet, że cenzurę znają też na Zachodzie.

Znają, ale praktykują znacznie oszczędniej niż w demouladach. To trzeba przyznać. A jak się komuś nie podoba linia gazety, to może iść pracować do innej, nie mówiąc już o tym, że może sobie inną czytać. To jednak robi różnicę. No i na zgniłym Zachodzie nikt niczego nie zagłuszał. Nawet słynnego Radia Tirana.

Aż tu – o ironio! – doczekaliśmy czasów, kiedy wielkie demokracje, którym gęby aż puchną od ciągłego głoszenia frazesów o wolności, zakazują swobodnej działalności niewygodnych mediów na swoim terenie. USA banują TikToka, a Brazylia na chwilę przycięła Muskowi Iksa. Musiał zapłacić za zdjęcie bana. I co będzie dalej?

Ano pewnie będzie coraz gorzej. Bo za pomocą nowych mediów można ręcznie lub maszynowo mieszać ludziom w głowie tak konkretnie i dokumentnie, że potem głosują, jak chce Putin, albo idą na pasku bezwzględnych złodziei ku ruinie i upadkowi. Trudno sobie wyobrazić, aby państwa godziły

się, w imię ideałów wolności słowa, na bezbronność wobec brutalnej dezinformacji i oszustw pleniących się w sieci. Jeszcze niedawno liczyliśmy na to, że pomogą edukacja i kampanie ostrzegawcze. Dziś jednakże wiadomo już, że ludzie nieodporni na fejk, a za to w pełni odporni na wszelkie pouczenia jest przerażająco dużo. I nie są to bynajmniej tylko ludzie starsi, lecz również młodzież. Nie mówiąc już o dzieciach.

I jak to wygląda? Ma być teraz tak jak za komuny? I tak, i nie. Komuna zagłuszała nie żadną tam dezinformację ani fałszywki, ale prawdę bądź prawdy interpretacje. Zachód natomiast chce walczyć z oczywistymi oszustwami. Mimo to sprawa nadal jest moralnie drażliwa. Co najmniej z trzech powodów.

Po pierwsze: umówiliśmy się, że wolność słowa jest niepodważalnym fundamentem demokracji.

Po drugie: wolność słowa obejmuje prawo do głoszenia kłamstw i gadania bzdur. A po trzecie: ktoś miał oceniać, co jest prawdą, a co kłamstwem w sieci? Ktokolwiek takie uprawnienie uzyska, stanie się kontrolerem naszych umysłów i sumień. A na to nie chcemy pozwolić.

Dotychczas jako tako działał na Zachodzie stary dobry system zabezpieczeń przed brutalnym łgarstwem, polegający na ochronie sądowej. Kłamcę i oszczercę można było pozwać, a wyroki obejmujące obowiązki publikowania przeprosin zapadały szybko. Ale dzisiaj? Szukaj bota w polu! Można co najwyżej żądać od platform, takich jak X czy TikTok, aby same kasowały jawnie kłamliwe treści i blokowały ich nadawców. Ale nie dość, że właściciele nie chcą tego robić, to w dodatku nie bardzo umieją. W miejsce jednego zablokowanego konta zaraz pojawia się dziesięć nowych. I ściek płynie sobie w najlepsze.

Nie jestem za cenzurą – nawet tą najbardziej uzasadnioną.

Ludzie mają prawo do różnych złych rzeczy, łącznie z pławieniem się w kłamstwie. Czy można zakazać fejków mówiących o dziećwach rodzących dzieci, facetach spacerujących po wodzie albo zamieniających wodę w wino?

Można, ale kosztem gwałtu na uczuciach masy ludzi. To ich sprawa, w co wierzą. Jedynie, na co możemy liczyć, to zdrowy rozsądek większości. I tak samo jest z trollami i botami rozpowszechniającymi dezinformację i wredną propagandę. Nie da się z nią walczyć, ale zawsze będą tacy, którzy znajdą w sobie dość rozumu i przyzwoitości, aby kłamstwu się nie poddać i jeszcze innym o tym kłamstwie powiedzieć.

Cenzura jest drogą ku dalszej cenzurze. I ta droga nie ma końca. Bo kłamstwo jest wielogłową hydrą – gdy ztniesz jeden jej wstrętny łeb, zaraz wyrośnie drugi. I jeszcze będzie ryczał, że się mu krzywdę robi. W odwiecznej walce ludzi prawdomównych i uczciwych z kłamcami i oszczercami cenzura nigdy jeszcze nie przysłużyła się tym pierwszym. Kto trzyma w ręku cenzorski ołówek, żadną miarą nie będzie dla społeczeństwa wiarygodny – nawet gdy będzie mówił prawdę, tylko prawdę i całą prawdę. Tak to już wrednie urządzone jest ten świat. Pławimy się w kłamstwach, fikcjach i iluzjach. A może prawda byłaby dla nas zbyt trudna do zniesienia? Może wszechobecne kłamstwo, choć tak szpetne, w ostatecznym rozrachunku chroni nas przed klęską bezradności i rozpacz, które stają się nieraz udziałem wiedzących i rozumiejących zbyt wiele?

JAN HARTMAN



Trump się w Trumpie ruszał i tak sobie śpiewał...

Przekręt na szaleńca

Suwerenność to podstawowe oszustwo, jakim karmią polski ciemny lud politycy w Polsce. Zwykle występuje ono w pakiecie z innymi politycznymi szalbierstwami. Najczęściej z patriotyzmem, genem polskości, katolicką nauką społeczną, Bogiem, Honorem, Ojczyzną.

Polscy politycy – i zblatowany z nimi komentariat – obiecują naiwnym wyborcom suwerenność, bo to jeden z filarów kreowanej przez głupie media dumy Narodu Polskiego. Narodu Polaków suwerennych, tych bez kompleksów, tych gotowych już Niemcowi napluć w twarz, a Brukseli pokazać wała.

Wął jak Polska cała.

Nic dziwnego, że taki krajowy suwereniarz medialnie brzydzi się rozstrzygania krajowych sporów na arenie międzynarodowej, zwłaszcza w Unii Europejskiej. Bo każda interwencja wraz z granicą godzi w jego patriotyczne sacrum suwerenności.

Tam jest Polska

Okazuje się jednak, że umiłowanie suwerenności nie przeszkadza polskim politykom, zwłaszcza tym z prawicy narodowo-katolickiej, w podlizywaniu się zagranicznemu ośrodkowi władzy. Teraz Donaldowi Trumpowi, prezydentowi USA.

Polscy politycy, zakłamanymi piewcy suwerenności, od tygodni zabiegali o zaproszenie na styczniowe zaprzysiężenie prezydenta Trumpa. Marzyli o tym jak Kopciuszek o balu. Wysyłali swych umysłnych, liczne medialne sygnały, pożądlive spojrzenia rzucali. Licytowali wysoko, ale po jedynawczo godzili się nawet na kilkuminutową audyencję. Na jedną wspólną fotkę, wrzuconą potem na platformę X.

Na uczestnictwo w styczniowym balu liczył prezydent Andrzej Duda. W kwietniu 2024 r. Trump przyjął go przecież w swoim Trump Tower na Manhattanie. Budynku wielce lubianym przez turystów ze względu na powszechnie dostępne, czyste i bezpłatne toalety.

Pewnie dlatego mózg prezydenta Dudy, minister Marcin Mastalerek, uznał, że po wygranych wyborach prezydent Tusk od razu zaprosi prezydenta Dudę do swojej rezydencji w Mar-a-Lago na Florydzie. I wtedy coś bąknęło, co będzie można sprzedać ciemnemu ludowi jako poparcie amerykańskiego prezydenta dla kandydata PiS w polskich wyborach prezydenckich.

Polski prezydent liczył na taką łaskę amerykańskiego, choć Donald Trump podczas swej poprzedniej prezydentury olał swym rudym mocem budowę Fortu Trump w Polsce i zmontowanie Trójmorza w naszej Europie. Czyli dwa sztandarowe geopolityczne projekty ekipy PiS.

Do tej pory Trump zdążył spotkać się z prezydentem Argentyny Javierem Milei i premierem Węgier Viktorom Orbánem. Gromko i stale komplementuje włoską premierkę Giorgię Meloni. O polskim prezydencie milczy.

Zaproszenie na inaugurację drugiej kadencji Trumpa dostał za to były premier Mateusz Morawiecki. Ale nie jako polityk „suwerennej” Polski, lecz szef federacji Partii Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Jako Europejczyk, nie jako polityk polski.

Zaproszenie na waszyngtońską inaugurację dostał też prezydent Chin Xi Jinping. Ponieważ jest politykiem odpowiedzialnym, to zaproszenia nie olał. Wysłał do Waszyngtonu swego zastępcę. Po-

kazał tym chińską suwerenność. Prawdziwą, nie oszukiwaną, jak ta polska.

W tym szaleństwie jest...

Znany wśród polskich polityków, choć rzadko przez nich czytany, Niccolò Machiavelli pisał, że jest bardzo mądrze czasem udawać szaleństwo.

Donald Trump też pewnie Machiavelliego nie studiował, ale może wzorować się na dwójce swych poprzedników. Prezydentach Nixonie i Reaganie.

W czasie wojny w Wietnamie Nixon miał tłumaczyć współpracownikom, że chce, aby Wietnamczycy uwierzyli, iż może zrobić wszystko, aby zakończyć wojnę. Nawet użyć broni atomowej. Ta strategia – zwana teorią szaleńca – miała skłonić przywódców Wietnamu do ustępstw.

Okazali się jednak odporni na takie amerykańskie gry.

Ronald Reagan też kreował się na prezydenta, który może olewać uświęcone wzory, międzynarodowe normy postępowania, racjonalne zachowania. Reagan wciągnął przywódców ZSRR w kosztowny i niepotrzebny wyścig zbrojeń. Bo uwierzyli oni, że ten pokrzykujący o Imperium Zła amerykański prezydent może rzeczywiście rozpocząć globalną wojnę.

Zamiast w potrzebne wtedy masło za bardzo zainwestowali w armaty. Doprowadzili tym do powszechnego zniechęcenia społeczeństwa i wzrostu tendencji do separacji republik radzieckich.

Teraz prezydent Trump kreuje się na „szalonego” i „nieprzewidywalnego”. Nieprzewidywalność to słowo klucz, które pada teraz we wszystkich analizach, rozmowach z ekspertami ds. Stanów Zjednoczonych.

Zbigniew Pisarski, prezes zarządu Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego, radzi, abyśmy oceniali Trumpa po czynach, nie po słowach, bo często są one ezopowe i rozbieżne.

Prezydenturę, jaką zapowiadają wypowiedzi Trumpa, określa skrótem ITP. Czyli izolacjonizm, transakcjonizm, protekcionizm.

Izolacjonizm Trumpa to zaangażowanie się w politykę międzynarodową w zakresie uzasadnionym jedynie interesem USA, dającym się przeliczyć na ekonomiczne zyski. To nie będą misyjne Stany Zjednoczone Joe Bidena, ale USA, które uważnie prześwietlają każdego dolara i zapytają: czy nam się to opłaca? To czynić będzie z USA trudnego partnera, odrobinę nieprzewidywalnego. Stanom Zjednoczonym taki protekcyjnistyczny styl działania w krótkiej perspektywie może się opłacać.

Z polskiej perspektywy najważniejsze pytanie brzmi: czy sojusze, których USA jest filarem – zwłaszcza NATO – przetrwają takie przywództwo? Jedno jest pewne – musimy zacząć się przyzwyczajać do amerykańskiego transakcyjnistycznego egoizmu. Ale jeśli popatrzymy na innych liderów politycznych na tym najlepszym ze światów, to kolejnym, powszechnie okrzykniętym

w mediach jako nieprzewidywalny jest prezydent Rosji. Etykiętę nieprzewidywalnego od lat ma w zachodnich mediach przywódca Korei Północnej Kim Dzong Un.

Do grona nieprzewidywalnych dołączył niedawno Jun Suk Jeol, prezydent sąsiedniej Korei Południowej. Za nieprzewidywalnych polski komentariat medialny uznaje też aktualnych premierów Węgier, Słowacji, prezydenta Białorusi i prezydenta Chorwacji.

Po tegorocznych wyborach grono nieprzewidywalnych może wzrosnąć. Choćby o nowego prezydenta RP.

Wersal się skończył

Europejskie przewidywalne media uznają też za nieprzewidywalnego Petera Hegsetha, przysiężnego sekretarza obrony USA. Przed nominacją przeszedł on tradycyjne przesłuchanie w Kongresie USA.

Poddano go tam istnej wirówce docieklwych pytań. Zadawanych przez opozycyjnych kongresmenów z Partii Demokratycznej. Pytania i odpowiedzi udowadniały kiepskie kompetencje człowieka odpowiedzialnego niebawem za bezpieczeństwo naszego globu.

Ponieważ brak kompetencji szybko przestał robić wśród kongresmenów wrażenie, to opozycja jąła ujawniać pikantne szczegóły z prywatnego życia sekretarza obrony USA. Okazało się, że jest on wielokrotnym rozwodnikiem, notorycznym byz-kaczem licznych „asystentek”, hedonistycznym balangowiczem, szefem nieortodoksyjnie rozliczającym publiczne fundusze.

A także mitomanem.

Słowem żyje jak typowy polski prawnik, narodowo-katolicki polityk.

Wtedy w obronie swego republikańskiego kolegi stanął senator z Oklahomy, też republikański, Markwayne Myullin. Nie zaprzeczał tym oskarżeniom wobec Hegsetha. Zauważył jedynie, że przyszły sekretarz stanu żyje tak samo jak obecni amerykańscy kongresmeni.

Oni przecież też regularnie przychodzą pijani na posiedzenia i głosowania w Kongresie. Oni też masowo rozwodzą się, choć ich deklarowane religie piętnują rozwody jako grzech. Każdy z nich też bzyka swe „asystentki”. Zatem czego się chłopaka czepiają?

Krótko przed swym zaprzysiężeniem prezydent Trump przypomniał o obiecywanej wielkiej deportacji nielegalnych migrantów z USA.

Ich wyplamywanie ma się zacząć w Chicago. Mieszka tam około 700 tys. ludzi polskiego pochodzenia. Niektórzy są tam nielegalnie.

Na tych polskich nielegalów padł strach. Wielu Polaków zamieszkałych legalnie w USA głosowało na Trumpa, bo mówiło się, że on lubi Polaków.

I dlatego nielegalnych Polaków nie ruszy.

Niebawem okaże się, czy prezydent Trump od-wzajemnia wielką miłość Polaków.

PIOTR GADZINOWSKI



Nie chcę niczego przegapić

PLURALIS MAIESTATIS

A żebyście wiedzieli, że martwię się o Błękitną Planetę

LA wciąż płonie, a ja mimowolnie wspominam film katastroficzny „Armageddon” (reż. Michael Bay). Wyprodukowano go w 1998 r. i stały za nim hollywoodzkie, disneyowskie pieniądze. Zbankrutowana sześć lat temu firma Touchstone Pictures robiła filmy, które uchodziły za kontrowersyjne, ale jednocześnie takie, które mogły zdobyć widza. „Armageddon” wypełnił sale kinowe pod koniec XX wieku. Wychodziliśmy z nich pełni zażenowania, a jednak podśpiewując piosenkę przewodnią „I Don’t Want to

Miss a Thing”. Mega przebój zespołu Aerosmith. Teraz pełni zażenowania patrzymy na gwiazdora tego obrazu Bruce’a Willisa. Cierpi on na demencję czołowo-skroniową. Przypomina nam to, że jesteśmy raczej bliżej niż dalej rzeczy ostatecznych. A teraz i koniec z LA! Analitycy finansowi Goldman Sachs uznali, że z powodu hollywoodzkich pożarów wzrost PKB w USA w pierwszym kwartale tego roku będzie o blisko 0,2 proc. niższy. Fabryka snów beknęła za sny nas wszystkich, ale najpierw się na nich dorobiła. Tak na tych

koszmarnych, jak i słodkich. Koszmary tymczasem wkroczyły do realu.

Jeśli chcemy uratować Błękitną Planetę, wszyscy musimy raczej ekonomicznie stracić niż cokolwiek finansowo zyskać. Oto globalne równanie w dół, zamiast poszukiwań urojonego czy prawdziwego komfortu przez urojoną klasę średnią. Brzmi do dupy? Jasne, że brzmi do dupy! Tyle że inne rozwiązania to burzliwe igrzyska z obowiązyującym hasłem *po nas chochy potop*. Największymi ofiarami będzie biedota, a dalej średniacy, których biedota ostatecznie eksterminuje. Powitajmy rewolucję? Pewnie! Tylko co dalej – bez żarcia, bez wody i z upałami, od których mózg się lasuje. A bogacze? A bogacze polecą na Marsa. Tak czy siak gówno im się zrobi, bo są bogaci. I zawsze kilku bogatych zostanie. Jesteśmy w sytuacji patowej, a wszystkie sytuacje patowe są trudne tak do ogarnięcia, jak i do zrozumienia.

Absolutnie nie pojmuje tego kandydat Nawrocki zapowiadający referendum dotyczące Zielonego Ładu – jeśli tylko wygra wyścig do tronu. Tymcza-

sem w tej sprawie nigdy miejsca na referendum nie było.

Deliberowanie o tym, czy dzisiejszy rolnik może zarobić tyle, ile zwykle albo więcej, aby jego prawnuk mógł swobodnie zdechnąć z głodu lub upału już 10 lat po urodzeniu, jest niedorzeczne, że nie wspomnę o tym, że nieetyczne.

A to referendum miałoby taki ostateczny sens. I przekonana jestem, że większość ludzi zawetowałaby Zielony Ład. Dlaczego? Bo nie są zawodowymi szachistami, ba, nawet w strategiach gry w piłkę plażową z trudem się poru-

sza, choć te specjalnie długofalowe nie są... Najważniejsza mantra: jakoś to będzie. Oraz: oni na pewno kłamią.

Naprawdę osobiście się czuję, kiedy tak napisałam o uratowaniu Błękitnej Planety. Trochę pompatycznie. Proszę się też o zjeby ze strony większości Czytelników „NIE”, jak i Redaktora Jarugi. Ano bywa. W sumie to nie chcę niczego przegapić... Zupełnie jak ta młodzież, którą kandydat Karol Nawrocki chce przysłać do piersi po tym, jak już wygra stołek, co zapowiedział 18 stycznia w Białogardzie: *Nie możemy budować świata i Polski bez słuchania młodzieży*. Nawrocki chce z młodzikami dialogu, szczególnie w kontekście *nowych technologii*. Świetnie, bo niedługo młodzieży może nam zabraknąć, a co do nowych technologii, to proponuję najpierw młodzieńcom opanować działanie gaśnicy pianowej, piorunochronu i pontonu. A i gandyż pan zalegalizuj, Karolu. Zalegalizuj pan bez referendum, bo się przyda, skoro właśnie klimatyczna karma nam wraca.

IZABELA SZOLC

Obserwując rządy uśmiechniętej kolicji, myślę sobie, że relacje między jej poszczególnymi częściami składowymi przypominają stosunki rodem z kultowej komedii „Sami swoi” w reżyserii Sylwestra Chęcińskiego. Przypomnijmy: gdzieś tam przed II wojną światową na Podolu darły ze sobą koty rodziny Karguli i Pawlaków. Pewnego dnia Władysław Kargul zaołał między polem swoim a Pawlaków na trzy palce: spór się zaognił, połała się krew.

Jak dotychczas w ramach walk wewnętrznych koalicji nie leje się krew, leje się obficie żółć. A patrząc okiem osoby, która na ten układ głosowała, wręcz powinienam łać ze śmiechu, jaka byłam naiwna.

Okazuje się, że Donald „Serduszko” Tusk w imię kontynuacji swej władzy gotów jest pozwalać Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszwowi władać nie tylko armią, lecz władzić – niczym Kargulowa krowa na poletku Pawlaka – na terytorium innych resortów. Kierowany przez szefa MON-u PSL skutecznie torpeduje wszelkie, choćby odrobinę postępowe inicjatywy, a nawet potrafi ramię w ramię z PiS i Konfą (czyżby zapowiedź przyszłej koalicji rządzącej?) przegłosować w sejmie KO, Polskę 2050 i Lewicę.

Można niemiać, że resort obrony działa z precyzją szwajcarskiego zegarka, wszystko idzie gładko, panuje w nim porządek godny armii pruskiej, skoro jego szef znajduje szmat czasu, by recenzować działania kolejnych członków i członków rządu reprezentujących inne ugrupowania partyjne. I nawet jeśli ktoś – jak szefowa MEN Barbara Nowacka – powie mu życziwie, by pilnował swego nosa, a nie cudzego prosa, to koniec końców Kosiniak-Kamysz stawia na swoim. Wiadomo, chłop potęgą jest i basta!

Ułańska fantazja ludowców

Obserwując aktywność publiczną szefa MON-u, można się zastanawiać, czy aby nie jest jednak szefem MEN-u, resortu środowiska czy spraw społecznych. Przelećmy zatem lotem koszącym nad ostatnimi szarżami Kosiniaka-Kamysza.

Po latach na poły klerofaszystowskiego reżimu kaczkostów miliony kobiet i osób młodych liczyły na odwilż w sprawach obyczajowych. Frajerzy. Drobna sprawa miała być edukacja zdrowotna w szkołach – przedmiot, na którym główniarze nauczyliby się, że dobrze jest się ruszać, a nie tylko siedzieć w smartfonach, i poznali różne zagrożenia czyhające na nich w dzisiejszym świecie. No i miała ona mieć elementy edukacji seksualnej, co stanowiło kamień obrazy dla Kościoła, PiS-u i Konfy organizujących rachityczne protesty. I tu wjechał Władek na

Jak ludowcy włożą w szkodę

Wszystkie miny Władka

białym koniu, by ratować dzieci przed „seksualizacją”.

Uspokoję wszystkich, którzy protestowali – przedmiot będzie nieobowiązkowy, będzie to decyzja rodziców; myślę, że będzie pozbawiony jakiegokolwiek ideologii – prawicowej czy lewicowej – stwierdził wicepremier z PSL-u. Wziąwszy pod uwagę prześladowany program szkolny, szansa na zaistnienie owego nieobowiązkowego przedmiotu są mikroskopijne. Ciekawe, że skoro mamy w kraju coraz więcej płaskoziemców i antyszczepionkowców, władza nie pozostawia w gestii rodziców wiedzy geograficznej czy biologicznej...

Ludowcy pod przewodem swego lidera zasypali Rządowe Centrum Legislacji serią uwag co do projektu legalizacji związków partnerskich. W swej opinii MON (sic!) zaczął bronić rzekomo zagrożonego heteroseksualnego małżeństwa i uznał, iż związki partnerskie to będzie takie małżeństwo w wersji soft, które łatwiej się da rozwiązać. Wiadomo, że jak chłop z chłopem lub baba z babą będą mieć jakąś prawnie sankcjonowaną przez państwo relację, zagraża to obronności kraju...

Swoje dołożył kierowany przez PSL-owca resort rozwoju i technologii, pisząc, iż

należy się opierać się na rozwiązaniach powszechnie akceptowalnych, aby uniknąć utknienia na poziomie doktrynerskich sporów. Po polsku: niech sobie tam geje pedałużą, ale po co się z tym obnosić, skoro ksiądz proboszcz, jego gosposia i ich dzieci krzywo na to patrzą?

Szczytem szczytów było odrzucenie głosami PSL-u w sejmie – ramię w ramię z opozycją – w pierwszym czytaniu projektu o regularnych obowiązkowych badaniach lekarskich myśliwych. Projekt przygotowany przez wiceministra klimatu od Holowni Mirosława Dorożalę ma – wedle Kosiniaka-Kamysza

– ograniczyć i stygmatyzować myśliwych. Święte słowa, jakby dziadowi po siedemdziesiątce łożącemu z flintą po lesie nakazać badanie okulistyczne i psychiatryczne, to wszak mogłoby to się zakończyć odebraniem broni myśliwskiej i uprawnień do polowań.

Trzeba poczekać, aż kolejny myśliwy odstrzeli kogoś w lesie – nie daj Boże dziecko – i będzie się tłumaczył, że pomylił je z dzikiem. Może wtedy prawo, które popiera 86 proc. Polaków, będzie uchwalone.

Dobre miny do złej gry

Kiedy za poprzedniego reżimu grzybiarze znaleźli w lesie zabłąkaną ruską rakietę, na głowę PiS-owskiego ministra obrony Mariusza Błaszczaka tzw. wolne media wylały kubły zasłużonych skądinąd pomyj. Platformersi wzywali go do dymisji, wskazując na nieudolność. Te same liberalne media przeszły właściwie do porządku dziennego nad skandalem, jakim było zagubienie przez kierowane przez Kosiniaka-Kamysza wojsko ładunku min przeciwpancernych, które mogły wysadzić w powietrze dwa wieżowce.

Onet ujawnił, że śmiertelność miny z ładunkiem wybuchowym o wadze 2,2 tony latem zeszłego roku przez blisko dwa tygodnie krążyły po Polsce w wagonie PKP. Kiedy zaczęło się szukanie winnego, samobójstwo popełnił szeregowy żołnierz. Jego koleczy zwiąż tę śmierć bezpośrednio ze sprawą. Bezkarci pozostają za to wysocy oficerowie najważniejszych instytucji wojskowych.

Jak to zwykle bywa, gdy ktoś zawalił sprawę, próbowano aferę zatuzować, a następnie zrzucić winę na najniższych stojących w hierarchii żołnierzy, aby uratować dupy tym na górze, którzy wykazali się karygodnymi zaniedbaniami i np. pozwolili zajmować się materiałami wybuchowymi nieprzeszkolonym ludziom. Przy skali jeżące włos na głowie nieudolności Kosiniakowego MON armia cesarza Franciszka Józefa z I wojny światowej – mistrzowsko opisana przez Jarosława Hańkę – jawi się jako oaza solidności i racjonalności.

Najlepsze, że szef resortu obrony zamiotł sprawę pod dywan i dopiero po wysłaniu doń pytań przez dziennikarzy



Onetu odwołał ze stanowiska szefa Inspektoratu Wsparcia gen. Artura Kępczyńskiego. Gdyby szef ludowców naprawdę stał murem za polskim mundurem, sam by złożył dymisję.

Na tym tle drobiazgiem jest sytuacja, w której najebany jak sztucer żołnierz na granicy z Białorusią spierdolił z jednostki i ostrzelał z karabinu jadącą autem rodzinę. Tylko szybka reakcja ojca, który nakazał nastoletniej córce uciekć z samochodu, uratowała dziewczynę przed niechybną śmiercią z rąk bandyty w mundurze. W mediach pojawiły się informacje, że ludzie na wschodzie kraju z mieszaniną zdziwienia i przerażenia patrzą, jak żołnierze regularnie kupują całe siatki wódki.

Władek, podejdź no do płota!

W jednej z moich ulubionych scen komedii „Chłopaki nie płaczą” niejaki „Laska” – nastoletni syn króla sedesów

– mówi do młodego Stuhra: *Wystarczy, że odpowiesz sobie na jedno zajeżdżenie, ale zajeżdżenie ważne pytanie: co chcesz w życiu robić? A potem zacznij to robić.*

Wydaje się, że miłościwie nam panujący Tusk powinien wziąć sobie pytanie „Laski” do serca. Wiadomo mniej więcej, dlaczego miliony wyborców 15 października 2023 r. dały mu mandat do sprawowania władzy. Był to głos za zmianą, przeciwko klerykalizacji, nieludzkiemu prawu – a raczej bezprawiu – antyaborcyjnemu, rozkradaniu państwa przez PiS-owców. Premierowi chyba nie dało do myślenia, że jego rząd po roku ma takie notowania jak gabinet Morawieckiego po dwóch kadencjach pracy u władzy. W obliczu sabotowania sensownych inicjatyw koalicji powinien on powiedzieć Władkowi z PSL to, co mówił Kaźmierz do sąsiada: *Podejdź no do płota!* I rozmówić się z nim jak facet z facetem.

Nie wiem, Tusk mógłby choćby próbować unowocześnić ludowców i zasugerować, że zamiast chlać wódkę czystą powinni oni – śladem „Laski” – odpowiedzieć sobie na to zajeżdżenie ważne pytanie i polubić jaranie blantów. Może upaleni trawką byłiby bardziej ludzcy i zrozumieli, że prowadzą rząd prosto na zderzenie z górą lodową w postaci oczekiwań społecznych.

Ludowcy powinni wrócić do lektur szkolnych. Wolterowski bohater powiastki filozoficznej, Kandyd, pod koniec swych przygód doszedł do wniosku, że szczęście przynosi uprawianie własnego ogródka. Byłoby miło, gdyby PSL-owcy wzięli to sobie do serca, bo ciągle wrzucanie przez Kosiniaka-Kamysza kamyczków do ogródków cudzych nie robi dobrze polskiej obronności, a jeszcze gorzej robi polskiemu społeczeństwu.

Wróćmy na koniec do „Samych swoich”. Jasiak Pawlak, jeden z bardziej zapalczywych wrogów Kargula, musiał spieprzać przed więzieniem do Ameryki. Zastanawiam się, dokąd będzie musiał spieprzać przed gniewem wyborców Kosiniak-Kamysz, gdy skutecznie obrzydzi rządy, w których pełni rolę piątej kolumny opozycji i Kościoła.

Zgodnie z prawem Murphy’ego, jeśli coś może pójść nie tak, to pójdzie źle. Kolejne zagubione przez wojsko miny mogą wybuchnąć komuś w twarz, najebany żołnierz może jakieś dziecko zabić. A tego wyborcy ludowcom nie wybaczają...

ZUZ

Im więcej lewicowych kandydatów, tym lepiej.

Politycy tudzież politolodzy zdają się nie rozumieć różnicy między wyborami prezydenckimi i parlamentarnymi – takie wnioski nasunęły mi się po pierwszych komentarzach do startu Adriana Zandberga.

Zarówno działacz Nowej Lewicy, aktualny zastępca Radosława Sikorskiego Andrzej Szejna, jak też politolog z Uniwersytetu Warszawskiego Olgerd Annusewicz ogłosili, że ewentualny słaby wynik Zandberga będzie oznaczać koniec partii Razem. Otóż niekoniecznie. Po kompromitując niskich wynikach Magdaleny Ogórek w 2015 r. i Roberta Biedronia w 2020 lewica nie umarła – najpierw wróciła do sejmu, a potem także weszła do rządu.

Dr Annusewicz dostrzega w tym powrocie – słuszenie – rezultat połączenia formacji lewicowych. Rzecz jednak w tym, że o ile taka jedność ma walor w wyborach parlamentarnych, to nie ma ona znaczenia w prezydenckich. Rozproszenie głosów lewicowych wyborców byłoby niebezpieczne, gdyby jakiś lewicowy kandydat miał realne szanse na przejście do drugiej tury. Jednak dziś w naszym zaściankowym kraju jest to niemożliwe. Polska to nie Ameryka Łacińska, gdzie wybory wygrywa się pod czerwonymi sztandarami.

W naszych warunkach pluralizm kandydatów działa na korzyść zarówno wyborców, jak i lewicy. Elektorat ma tu możliwość wyboru. Nie pasuje ci Adrian Zandberg, to głosuj na Magdalenę Biejat i vice versa. A jeżeli obie te kandydaty ci się nie podobają, to na Joannę Senyszyn albo Piotra Szumlewicza. Dzięki takim alternatywom skłaniający się ku lewicy wyborca nie będzie

bezrefleksyjnie popierał jedynego kandydata, za to będzie zmuszony do myślenia – a to tylko może mu wyjść na dobre.

Wyborów tych nie należy traktować w kategoriach bratobójczej walki po lewej stronie. Wręcz na odwrót: dają one szansę wzmocnienia lewicy, a także mogą sprzyjać współpracy różnych formacji. Przedstawiciele komitetów wyborczych będą mogli zbierać podpisy pod listami kilku kandydatów. O ile będą w stanie wnieść się ponad wzajemne animozje. A jeśli nie, to za nich będą mogli to robić indywidualnie wyborcy. Wieleś kandydatów stwarza też – może tylko pozorne, ale jednak odczuwalne – wrażenie siły lewicy, która ma w swoim gronie kilku polityków, gotowych podjąć się tego niełatwego w końcu zadania.

Olgerd Annusewicz twierdzi, że na starcie dwóch lewicowych kandydatów może zyskać Rafał Trzaskowski – bo *gdzie dwóch małych się bije, tam korzysta ten trzeci duży*. Otóż nie, Trzaskowski i lewica, przynajmniej w pierwszej turze, mają swoje odrębne elektoraty – w związku z czym kandydat spoza lewicowego kręgu nic tutaj nie zyskuje.

Podobnie jak uniwersytecki politolog, również wiceminister Szejna wieści, że gdyby Magdalena Biejat uzyskała znacząco lepszy wynik niż Adrian Zandberg, byłby to koniec partii Razem. Na temat tego, co byłoby w odwrotnym przypadku, Szejna się nie wypowiada. Ma za to za złe Zandbergowi, że *podejmuje bardzo duże ryzyko, startując przeciw pozostałej zjednoczonej Lewicy*.

O tym, kto uzyska lepszy wynik, zadecydują wyborcy. Zdaniem Andrzeja Szejny lepszą kan-

dydatką jest Magdalena Biejat, ponieważ wyróżniają ją *determinacja, pracowitość, otwartość oraz ciepło*. Czy to wystarczy, aby przekonać wyborców? Zobaczmy.

Wielu lewicowym wyborcom może się nie podobać to, że Biejat zdezerterowała z Razem i tym samym weszła w układ koalicyjny z PO. Tymczasem Zandberg posługuje się nośnymi hasłami o bezsensowności wojny między PO a PiS.

Twierdzi, że ma kompletnie dość szarpaniny, z której nic nie wynika, słuchania non stop, kto kogo wsadzi do więzienia. Zandberg uważa też, że i Donalda Tuska, i Jarosława Kaczyńskiego należałoby już wysłać na emeryturę. Myślę, że z takimi poglądami zgadza się wielu wyborców rozczarowanych udziałem Nowej Lewicy w rządzie, co z kolei może odbić się na Magdalenie Biejat.

Osobiście jeszcze się nie wypowiadam, na kogo zagłosuję w pierwszej turze wyborów prezydenckich. Natomiast konsekwentnie uważam, że im więcej wystartuje lewicowych kandydatów, tym lepiej. Namawiam zatem osoby o lewicowych poglądach do zgłaszania swoich kandydatów, a swoim podpisem wesprę ich wszystkich.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

Zgłaszajmy się!



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

MÓZDZEK TYGODNIA

Najpierw wicepremier, minister obrony narodowej i lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz: *Edukacja zdrowotna w szkołach będzie przedmiotem nieobowiązkowym, o udziale w nim będą decydować rodzice; myślę, że będzie pozbawiony jakiegokolwiek ideologii – prawicowej czy lewicowej*.

Potem ministra edukacji narodowej i lidera Inicjatywy Polskiej Barbara Nowacka: *Ktoś znów pomylił MON z MEN*.

Na koniec premier i lider Platformy Obywatelskiej: *Jestem raczej zwolennikiem, żeby w takiej sytuacji stawiać raczej na dobrowolność niż na przymus*.

Wychodzi na to, że nikt nie pomylił ministerstw, tylko ministra się pomyliła. A może zwyczajnie została wystrychnięta na dudka przez samców alfa?

Od kilku tygodni prawica grzeje temat farm wiatrowych, które mają zdemolować polskie lasy bardziej niż osiem lat jej rządów. Turbiny wiatrowe o wysokości do 250 metrów mają wyrastać nad polskimi lasami. Aby postawić jedną, trzeba wyciąć cały las naokoło, wykopać spory dół i wlać w niego setki ton betonu – perorował z końcem grudnia na antenie Radia Maryja poseł Dariusz Matecki. Na początku stycznia na platformie X grzmiał: *To jest grube! Lasy Państwowe wydadzą 16.858.530,43 zł na badania „Wpływ budowy farm wiatrowych na populację ptaków i nietoperzy w lasach nizinnych Polski”*. Czyli najpierw zbudujemy wiatraki – niech Niemcy i Duńczycy zarobią miliardy, a później będziemy oceniać, jak to wpłynęło na ptaki, nietoperze...

Jak mówi stare porzekadło, w każdym kłamstwie jest ziarno prawdy, natomiast wywlekanie tego projektu przez prawicę jest o tyle zabawne, że fikoł z farmami wiatrowymi wśród sosen nie jest świeżym pomysłem – powstał w czasach piśmowskich. Faktem natomiast jest, że inwestycja powoli nabiera rumieńców, a opowieści Lasów Państwowych o jej założeniach wydają się utkanie z mchu i paproci.

Za górami, za lasami

LP uczestniczą w pilotażu związanym z budową farm wiatrowych na terenach leśnych od 2021 r. Projekt o nazwie „Las Energii” realizowany jest w dwóch lokalizacjach na terenie trzech nadleśnictw w województwie lubuskim, pod zarządem Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Szczecinie i Zielonej Górze. W każdej lokalizacji planowana jest budowa maksymalnie do 10 turbin wiatrowych o mocy 6–7 MW. Ich maszty będą miały wysokość 250 m, a same wiatraki będą pracować 50 m nad koronami drzew. Kasę wyklada i fragment lasu dzierżawi polska spółka córka duńskiej firmy Eurowind Energy, która prowadzi podobne inwestycje w innych krajach. Lasy Państwowe podają, że projekty znajdują się na etapie uzgodnień i uzyskiwania zgód administracyjnych.

Jak grzyby po deszczu wyskakują nieścisłości. Kooperacja LP i inwestora nie zrodziła się w wyniku przetargu, a zaczęła w 2020 r. od przesłania przez Eurowind Energy oferty współpracy. W kolejnych latach, przy błogosławieństwie ówczesnego sekretarza stanu i pełnomocnika rządu ds. leśnictwa Edwarda Siarki, podpisano listy intencyjne i umowy dzierżawy gruntów leśnych na potrzeby budowania farm i prowadzenia pilotażu. Aktualny wiceminister klimatu i środowiska Mikołaj Dorożała całkiem słusznie uznał, że szpagat poprzedniego rządu nad „Lasem Energii” budzi uzasadnione wątpliwości i zapowiedział, że będzie przedmiotem dalszej weryfikacji. Dodatkowo jego zdaniem na podstawie ustawy o lasach (art. 39) nadleśnictwa nie mogą wydzierżawić gruntów leśnych na cele inne niż gospodarki leśnej, a budowa farm to wyklucza. Niby tak, chociaż śmigła nad wierzchołkami drzew to tylko część projektu „Lasy Energii”, ten bowiem zakłada również rozszerzenie floty samochodów elektrycznych należących do

Lasy Państwowe chcą być bardziej zielone. W tym celu zamiast ograniczać wycinki planują budowę prądotwórczych wiatraków.

Halo, osika, tu turbina



Ilustr.: KRZYSZTOF OLEJNIK

Lasów Państwowych z 80 do 200 pojazdów oraz postawienie 400 ładowarek samochodowych. Gdyby zatem przymknąć oko i naciągnąć fakty, jak zwykle się w LP czynić, można uznać, że prąd z wiatru się gospodarce leśnej przysłuży. Czego nie robi się dla przyrody...

Wały z wiatrakami

Najważniejsze jest dla nas zachowanie najwyższych standardów ochrony środowiska. Wstępny monitoring przyrodniczy miejsc inwestycji już się rozpoczął i będzie prowadzony przez inwestora w kolejnych etapach, na warunkach i zasadach określonych w decyzji

środowiskowej – informują Lasy Państwowe i zaznaczają, że decyzje dotyczące dalszego rozwoju projektu zostaną podjęte po zakończeniu pilotażu i badań naukowych. Okres realizacji badań oszacowano na 70 miesięcy. Koszty brutto przytoczone przez Mateckiego są – w drodze wyjątku – prawdziwą informacją. Analizę zlecono w kwietniu 2024 r. Uniwersytetowi Przyrodniczemu w Poznaniu. *Zespół naukowców, odpowiedzialny za projekt, składa się z uznanych ekspertów w dziedzinie ekologii i ochrony przyrody, których dorobek naukowy jest potwierdzony licznymi publikacjami w renomowanych czasopiśmie międzynarodowych oraz prestiżowymi nagrodami – zachwalają LP*. Co ciekawe, od 2021 r. przy wydziale Inżynierii Środowiska i Inżynierii Mechanicznej wspomnianego uniwersytetu funkcjonuje Rada Interesariuszy i Ekspertów Zewnętrznych, która zrzesza partnerów strategicznych wydziału i ma znaczący wpływ na kształtowanie badań stosowanych oraz procesu kształcenia. Zupełnie przypadkowo jednym z zastępców przewodniczącego rady jest mgr inż. Małgorzata Szamblańczyk – prezes zarządu spółki Eurowind Energy.

W zasadzie wszelkie analizy to tylko kosztowna formalność, bo Generalna Dyrekcja Lasów Państwowych zapewnia, że turbiny zostaną wyposażone w najnowocześniejsze technologie przeciwdziałające kolizjom z ptakami czy nietoperzami. Systemy detekcyjno-reakcyjne mają zminimalizować ryzyko poszatkowania skrzydlatych szczurów poprzez spowolnienie obrotów rotora, aktywację sygnałów dźwiękowych i świetlnych mających zniechęcić ptactwo do wlotu w strefę zagrożenia oraz wyłączenie turbiny, jeśli ptak ową strefę przekroczy. Później wystarczy pomalować słupy na brązowo, śmigła na zielono, obsadzić bluszczem, powieszać budki dla ptaków, a wokół turbin szukać prawdziwków. Nawiasem mówiąc,

jeśli wziąć pod uwagę przyrost lasu (okres dzierżawy dla inwestycji pilotażowych wynosi 30 lat), specyficzne warunki wietrzne w takim terenie i wyłączanie się turbin za każdym razem, kiedy w polu ich działania pojawi się ptak, maluje się fascynująca wizja rentowności przedsięwzięcia.

Wiatr zmian

Eurowind Energy szacuje, że cały proces przedinwestycyjny będzie trwał 4–6 lat, a etap budowlany rozpocznie się po uzyskaniu niezbędnych pozwoleń.

Projekt „Las Energii” został wpisany do projektów strategicznych Portfela Projektów w Kancelarii Prezesa RM w grudniu 2023 r., więc zapewnienia Dorożały, że nie ma planów ani możliwości budowy wiatraków w polskich lasach, można włożyć w dziuplę.

Zastępcą dyrektora generalnego ds. Zrównoważonej Gospodarki Leśnej w Lasach Państwowych został kierownik projektu „Las Energii”, zasłużony wieloletni członek PO Jerzy Fijas. Przed objęciem stołka Fijas kierował jednostką LP zajmującą się odnawialnymi źródłami energii, które mają być podstawą zaopatrzenia w prąd budynków i środków transportu LP – zatem można uznać, że pisowski projekt godności nowej władzy specjalnie nie uraził. Polskie Stowarzyszenie Energetyki Wiatrowej na sprawę patrzy z niesmakiem i obawą, że pomysł skonfliktuje inwestorów z lokalną społecznością i organizacjami ekologicznymi, a w konsekwencji stanie się paliwem dla przeciwników energetyki wiatrowej. Pytanie, co z wiatracznym fanem zrobi ministerstwo klimatu i środowiska, pozostaje – przynajmniej z założenia – otwarte.

IDALIA DUBICKA

Ktoś zaczął go pytać. Dokąd idziesz? Do roboty, odpowiedział Jarek. Chyba do pracy – zaoponował tamten. Nic podobnego – odparł Jarek Niemiec. Na umowie mam *robotnik*, to idę do roboty. W Kopalni Bogdanka są robotnicy na ziemi i robotnicy pod ziemią. Tak mają wypisane w umowach o pracę. Jarek jest z przeróbki, więc robił na ziemi.

Do kopalni poszedł zaraz po studiach pedagogicznych. Bo w Łęcznej jedyna droga do przyzwoitego zarobku to kopalnia. Do dziś zatrudnia 7 tys. ludzi, a pośrednio daje pracę ponad 20 tys. Zapytany o to, czy on, człowiek z wyższym wykształceniem, nie czuje się zdegradowany społecznie, pracując na stanowisku robotniczym, odrzekł, że jest ze wsi i dla niego bycie robotnikiem to awans.

Zresztą Jarek Niemiec nie ograniczał swej aktywności do kopalni. Już przed 20 laty potrafił po skończonej szychcie chodzić do sądu i bronić lokatorów przed eksmisją. Prowadził lubelski oddział Kancelarii Sprawiedliwości Społecznej. Kiedy gruchnęła wieść, że sprzątaczką na Uniwersytecie Marii Skłodowskiej-Curie mają być zastąpione przez firmę Impel, zorganizował pikietę podczas inauguracji roku akademickiego. Kiedy przechodzili oficjele – wojewoda, rektor, biskup – sprzątaczką z Jarkiem na czele wyspiewywały na melodię „Guantanamery”: *Stracim robotę, bo rektor kupił Toyotę*. Akcja się powiodła. Sprzątaczkę wciąż pracują.

Kiedy z powodu wieku praca fizyczna zaczęła mu dawać w kość, zro-

W obronie kopalni

Jarek głoduje w Bogdance

bił studia inżynierskie. Ale na sztygara nie awansował. Bo buntowników nie awansują. Awansowali go pracownicy. Wybrano go przewodniczącym Związku Zawodowego „Przeróbka”. Kiedy zaczął, związek liczył 250 ludzi. Dziś jest 600.

I to pod sztandarem tego związku Jarek podjął protest głodowy w obronie kopalni. W grudniu w starostwie powiatowym w Łęcznej, gdzie położona jest Bogdanka, górnicy wspólnie z samorządowcami podpisali apel do premiera o sprawiedliwą transformację regionu. *Pewne jest jedno, że nie będziemy umierać w ciszy. Bogdanka to „MATKA” naszego regionu* – głosi dokument podpisany przez samorządowców i Jarka Niemca. Przewodniczącego ZZ „Przeróbka”.

Kopalnia nie tylko daje pracę i zarobek ludziom w jednym z najuboższych regionów Unii Europejskiej, ale jest dochodowa. Jej roczny zysk sięga 600 mln zł.



Rys. PRZEMISŁAW ZAMOJSKI

A złoża dostępnego do eksploatacji węgla zalegają wszędzie.

O planach likwidacji kopalni dowiedzieli się ze strategii spółki skarbu państwa Enea posiadającej 60 proc. udziałów w „Bogdance”. Plany głoszą, że w ciągu dwóch-trzech lat Enea – główny odbiorca węgla z Bogdanki – znacznie zamawiać ilość węgla, które uczynią kopalnię deficytową.

Protest głodowy Jarka tak przstraszył dyrektora, że przysłało mu pismo z pogrózkami. Oznajmiono w nim, że głodówka jest nielegalna, a głodujący górnik zostanie ukarany.

Wkrótce mają przystąpić do protestu głodowego koledzy Jarka. W ramach wsparcia przyjeżdżają okoliczni rolnicy na traktorach, radni czy po prostu mieszkańcy, którzy wiedzą, że to walka o przyszłość całego regionu.

Jeśli przegramy – mówi Niemiec – jedyną drogą ucieczki od biedy będzie droga ekspresowa S17 do Warszawy.

Jarek Niemiec ma 52 lata, żonę i dorosłą córkę. Podczas głodówki wspomaga się kawą, wodą, papierosami i muzyką. Jego miłość to metal. Stosownie ubrany jeździ na koncerty i daje czadu. Poglądy ma socjalistyczne, jest czerwony i tego przed kolegami górnikami nie kryje. Zawsze powtarza, że to, co robi dla załogi, dla ludzi, robi ze względu na swoje lewicowe poglądy. I załoga stoi za nim murem.

Co mu daje metal – pytam. – Regulowanie i przeżywanie emocji. Ja widocznie potrzebuję ekstremalnej formy sztuki, żeby uzyskać ten efekt. Kiedy chcę przyprływu energii albo jakiegoś katharsis, to metal ma odpowiednie ku temu pierdolnięcie. Współcześnie to metal jest gatunkiem ekstremalnym, ale kiedyś za coś takiego uznawano Mozarta. Nie polecam zasypiania przy „Requiem”, przecież to rozpierdała na atomy. Ten sam klimat ma dziś black metal, tylko teraz to się wzmacnia opętaniem wokalem, diabelskim tremolem na gitarze, wściekłymi blastami na perkusji, ale chodzi o to samo: śmierć, mrok, depresję, gniew. To siedzi w każdym, ale ja muszę stawić temu czoła, zaakceptować te emocje, żeby mnie nie zżerały na co dzień. Metal pomaga.

PIOTR IKONOWICZ

Pieniądze nie śmierdzą

A banki?

Gdyby boski cesarz Wespazjan nie wkurwił swego syna Tytusa wprowadzeniem ok. 70 r.n.e. podatku od toalet publicznych, nigdy nie powstałoby najślynniejsze zdanie w światowej historii pieniądza: *Pecunia non olet*. A gdyby Wespazjan tego nie powiedział, to zapewne do dziś do banków trafiałoby się na wdech.

Gnojem co prawda od banków nie zajeżdża, ale złodziejstwem i oszustwem, jak się zdaje, śmierdzi na stałe. Że pieniądze nie śmierdzą, wie każdy polityk – bo to banki, obok spółek skarbu państwa, są największymi szafarzami politycznie umorusanych pieniędzy i sponsorami konkretnych partii politycznych.

Wielu z nas zapewne pamięta Bank Gospodarki Żywnościowej, który do maja 2006 r. miał siedzibę w biurowcu ludowców na Grzybowskiej i płacił horrendalnie wysoki czynsz Zjednoczonemu – a później Polskiemu – Stronnictwu Ludowemu, wspierając jego polityczną i organizacyjną działalność. Dojną krową dla pisowskiej sitwy przez lata jej prosperity był Bank Gospodarstwa Krajowego, który łądował setki milionów złotych w jej szemrane fundacje. Głową pod tasak dają też, że Grzegorz Bierecki, założyciel systemu SKOK, nigdy nie zostałby senatorem, gdyby nie jego polityczno-finansowe machloje z partią Kaczyńskiego. Bierecki i SKOK Wołomin to jednak hetka-pętka w porównaniu z całym krajowym systemem banksterkim.

W polskim języku utrwalił się zwyczaj sankcjonowania działań bezprawnych poprzez dopisywanie przedrostków powszechnie znanym rzeczownikom. Stąd się biorą niezgodne z literą prawa prekampanie wyborcze – a także parabanki.

Na terenie Polski działa 30 banków komercyjnych, 503 banki spółdzielcze

oraz 30 firm potocznie zwanych parabankami.

Parabank to szemrana instytucja, która świadczy usługi podobne do banku, lecz nie działa w oparciu o ustawę prawo bankowe. Więc w oparciu o jakie prawo działają parabanki, prawo kaduka? Na cholerę w Polsce tyle złodziejskich melin, które udzielają pożyczek na lichwiarski procent bez żadnych ustawowych ograniczeń?

Klientami tych firm są najczęściej ludzie zdesperowani, którzy nierzadko za sprawą banków wpadli w finansowy dołek, a może nawet krater wulkaniczny, z którego wyjść się nijak nie da. W żargonie bankowym: utracili zdol-

ność kredytową. Kredyty zaś często biorą pod zastaw domów i mieszkań, które są jedynym posiadaniem przez nich majątkiem, a w konsekwencji łupem banksterskich lichwiarzy. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO), czyli całkowity koszt kredytu ponoszony przez konsumenta, w niektórych z tych lichwiarskich firm wynosi nawet 80 proc. Te lichwiarskie firmy do windykacji zadłużenia często korzystają z usług bandyckiego półświatka. Nierzadko jednak po ich stronie staje prawo, o czym niezbicie świadczy osobiście mi znany syndrom słupski.

Pamiętam, jakby to było dziś, słupskiego lichwiarza, który na zeszyt po-

żywał setki tysięcy złotych. Niezawisły sąd Rzeczypospolitej uznał jego prawo do udzielania kredytów i naliczania w zeszycie 10 proc. odsetek miesięcznie. Lichwiarz mocą sądowego wyroku pozamykał szklarnie dłużnika, skazując na śmierć rosnące tam rośliny i ich hodowcę. Byłem przy tym, gdy na prośbę senatora Mieczysława Włodyki przyjechała bojówka Samoobrony i na gołą dupę wlepiła lichwiarzowi kilkadziesiąt różg. Dziś mogę pisać o tym śmiało, bo na moim przyjacielu Andrzeju Lepperze dawno już odpowiednie służby popełniły „samobójstwo”, a senator Włodyka, choć wcześniej był jednym z najbardziej znanych słupskich przedsiębiorców, zmarł w zapomnieniu na łasce rodziny. Lichwiarz też już zapewne nie żyje.

Niestety, także legalne i oficjalne banki, działające w oparciu o prawo bankowe, nie zasługują na nadmiar zaufania. Często udzielają kredytów złodziejom tożsamości i wszelkiej maści oszustom.

Gdy za nieboszczki komuny szedłem do banku po kredyt na zakup firanek (sic!), to musieli być ze mną żona i dwóch żyrantów i każdy musiał mieć ze sobą dwa dokumenty ze zdjęciem oraz zaświadczenie z zakładu pracy o wysokości miesięcznego uposażenia.

Dzisiaj wystarczy ukraść komuś dowód osobisty, a czasem tylko poznać numer PESEL ofiary, aby otrzymać, nawet telefonicznie, wysoki kredyt bankowy. Banki w swoich decyzjach nierzadko kierują się polityczną protekcją bądź prywatnymi koneksjami kredytobiorców. Do bankowego lamusa odeszła praktyka obarczania odpowiedzialnością cywilną urzędnika bankowego, który zdecydował o udzieleniu kredytu wysokiego ryzyka jakiemuś królikowi lub znajomemu króliku.

W tym miejscu kłania się jakże ośliwy syndrom białostocki, gdzie do lepszego ze światów odeszła zadłużona na pół bańki kobieta. Ze zarządzeniem losu nie miała żadnych zstępnych, czyli nijakiego przychowku, jej spadek wraz z dobrodziejstwem inwentarza przypadł w udziale białostockiej gminie. Wszelkie więc zadłużenia nieboszczki spłacić będą musieli mieszkańcy Białegostoku, a komornik już siedzi na kasie miasta. Nikt nie szuka urzędasów, którzy tych kredytów udzielili.

Tymczasem aktywa polskich banków i banksterów rosną jak drożdże na zaczyn świeżutkiego chleba. Jak podaje NBP, zysk netto banków przez dziewięć miesięcy 2024 r. wyniósł nieco ponad 31 mld zł. Rok wcześniej dziewięciomiesięczny wynik netto banków wyniósł 21 mld zł. Czyli w tzw. analogicznym okresie banki zarobiły na czysto o 10 dużych baniek więcej.

Przychody odsetkowe banków przez trzy kwartały 2024 r. wyniosły 127,4 mld zł. Z samych opłat i prowizji banki zyskały 19,58 mld zł; o prawie 750 mln więcej niż rok wcześniej.

Krzywa rośnie – a to przecież te same banki, które ronią łzy nad prześladowaniem ich za prawne konsekwencje udzielanych przez nie złodziejskich kredytów frankowych. Tzw. frankowicze na oczy nie widzieli ani jednego szwajcarskiego franka; raty i odsetki od kredytu spłacali zaś po rosnącym latami giełdowym jego kursie. Teraz, kiedy niektórzy wygrywają procesy, banksterstwo lamentuje, że polski system bankowy zaraz się załamie.

W III Rzeczypospolitej mieliśmy już 14 różnych rządów oraz niezliczone rzesze ministrów i sekretarzy stanu, ale żaden nie spojrzął gospodarskim okiem na banki i parabanki, które tuczą się na chorym organizmie kraju i jego obywatelach. Pozwól sobie domniemywać, że nie tylko SKOK Wołomin i kilka innych wspomnianych wyżej banków fraternizowało się z politycznym establishmentem. Chyba każda władza ma swoich banksterów, z którymi wymienia przysługi – polityczne na finansowe i odwrotnie. Każdy bank ma też swoich lobbystów, którzy krążąc po kuluarach sejmowych, werbują zwolenników przychylnego dla banksterstwa prawa. Pieniądze przecież nie śmierdzą, bez pieniędzy polityki robić się nie da, a polityka zawsze pieniądzem mocno politykom pachniała, niezależnie od tego, kto tę władzę w garści trzymał.

Magdalena Biejat, kandydatka lewicy na prezydenta RP, zwraca uwagę, że w ciągu ostatnich czterech lat banki wzbogaciły się sześciokrotnie. Zapowiada projekt ustawy ws. maksymalnych marż bankowych na kredytach hipotecznych. *Raty muszą być niższe, a mieszkania tańsze. Dach nad głową każdej polskiej rodziny jest ważniejszy niż chciwość banków* – powiedziała miss rankingu. Pani senator, ma pani mój głos.

TADEUSZ GAWLIK

Życie w DOBROBYCIE

● Miłujące Polskę Stany Zjednoczone tuż przed introniacją Trumpa wprowadziły ograniczenia na eksport zaawansowanych półprzewodników do sztucznej inteligencji. Podzieliły świat na kraje, które mogą kupować chipy bez ograniczeń, na te, którym się nie ufa i wolno im wydać 50 tys. takich ustrojstw, oraz na kraje wrogie, którym należy się figa. Przy tej okazji wyszło, że USA ufają nam tak jak Paragwajowi, Wybrzeżu Kości Słoniowej, Namibii, Madagaskarowi czy Uzbekistanowi. Wprowadzone przez Waszyngton ograniczenia wpisują bowiem Polskę na listę państw z limitami. Stany uzasadniają wprowadzenie ograniczeń potrzebą stworzenia zaufanego ekosystemu technologicznego, który ma chronić bezpieczeństwo narodowe przed zagrożeniami związanymi ze sztuczną inteligencją, przez co pokazały, co naprawdę myślą o „swoich przyjaciółach” znad Wisły.

● Firma Oriflame nie bazuje na sztucznej inteligencji, bo robi kosmetyki, a mimo to zdecydowała o zamknięciu fabryki w Warszawie. Produkcję z Polski przeniesie do innych krajów Europy. Wszyscy pracownicy objęci procesem zwolnień otrzymają pakiet odpraw przewyższający wymagania prawne oraz odpowiednie wsparcie – można wyczytać w komunikacie firmy. Na miejscu zakładu deweloper wybuduje kompleks budynków mieszkalnych o wysokości do dziewięciu pięter, z podziemnym

parkingiem na 1,8 tys. samochodów oraz 200 miejscami postojowymi na powierzchni. Nie ma szans na to, żeby zwalnianych pracowników za odprawy było stać choćby na miejsce pod samochód na takim osiedlu.

● Producent mebli Black Red White również nie jest firmą korzystającą szczególnie na sztucznej inteligencji. A i on poinformował o planach zamknięcia jednego ze swoich zakładów. Nie podał którego, ale wszyscy wiedzą, że chodzi o Przeworsk, gdzie robotę ma stracić ok. 200 osób. Dla pracowników zwolnienia grupowe są zaskoczeniem, bo duża część załogi pracuje w zakładzie od kilkudziesięciu lat. Powiatowy Urząd Pracy podaje, że zwalnianie pracowników odbędzie się za porozumieniem stron lub z trzymiesięcznym okresem wypowiedzenia. O pakietach odpraw nikt nie wspomina.

● Amerykańskie częściowe embargo na sztuczną inteligencję nie spowodowało również, że w 2024 r. zlikwidowano 2 tys. polskich sklepików, a kolejne ponad 9 tys. zostało zawieszonych. I dlatego na polskim rynku działa 367,1 tys. tradycyjnych placówek handlowych. Zeszłoroczne plajty dotyczyły więc 2,5 proc. wszystkich detalicznych sprzedawców działających w Polsce. Bankrutowało nieco ponad 30 każdego dnia i jest to już siódmy rok z rzędu, kiedy z polskiego rynku znikają sklepy. Rosnie za to liczba sklepów internetowych. W ostatnich 12 miesiącach polski rynek wzbogacił się o ponad 6,5 tys. takich sklepów, co pozwoliło na przekroczenie 72 tys. istniejących sklepów internetowych. Małe sklepy miały być ratowane przez wprowadzenie niehandlowych niedziel. Jest odwrotnie, bo choć sklepów ubywa, to duże sieci rosną. Żabka uruchomiła właśnie 11-tysięczną placówkę i zapowiada otwieranie po ponad 1 tys. skle-

pów rocznie. Nowe placówki otwierają też na potęgę Lidl i Biedronka.

● Ta ostatnia stawia na inteligencję. Nie sztuczną jednak, a ludzką. I jeśli ktoś legitymuje się ukończeniem studiów licencjackich lub magisterskich, ma prawo jazdy kat. B oraz zna angielski przynajmniej w stopniu komunikatywnym, to może wziąć udział w programie naboru biedronkowej kadry kierowniczej. Firma szuka 20 osób, które potem obejmą funkcję kierownika operacji i sprzedaży lub młodszego menedżera ds. logistyki albo łańcucha dostaw w całej Polsce. Oferta skierowana jest do kandydatów zewnętrznych, ale też pracowników firmy, którzy mają szansę awansować także ze stanowisk początkowych w sklepie, takich jak sprzedawca-kasjer – podała Biedronka. Jak się wygra nabór nazwany „akcją Operacją”, to można zarabiać nawet 8,5 tys. zł brutto. Ale nie od razu. Uczestnicy programu mają zagwarantowane objęcie roli menedżerskiej po 14 miesiącach i konkretną ścieżkę kariery dopasowaną do doświadczenia. W trakcie intensywnego programu rozwojowego poznają mechanizmy funkcjonowania sklepu, pracę w zespole logistyki lub łańcucha dostaw, aby kompleksowo poznać biznes największego retailera w kraju – napisano w komunikacie, nie doprecyzowując, że przez ponad rok przyszły menedżer będzie ganił po sklepie za szmalec mniejszy, niż zarabiają osoby na kasie.

● Oczywiście, jeśli ktoś nie chce menedżerować w Biedronce, to mając te same kwalifikacje, może zostać księgowym lub audytorem. Przedstawiciele tych dwóch fachów w 2024 r. otrzymali największe podwyżki. Księgowi mogą liczyć na pensję od 5,5 do 10 tys. zł. Najwięcej płaci się księgowym w Poznaniu oraz Warszawie. Pensje

audytorów zaś zaczynają się od 9 tys. zł, a kończą nawet na 18 tys. zł. Najwięcej w tej branży zarabiają dyrektorzy finansowi oraz członkowie zarządu odpowiedzialni za finanse. W Warszawie wyciągają oni średnio od 35 do 60 tys. zł miesięcznie. W większości innych miast pensje na tym niewymagającym sztucznej inteligencji stanowisku zaczynają się od 30 tys. zł.

● Amerykańskich chipów nie potrzebowała też grupa kilkunastu osób, która od września 2014 r. do 31 grudnia 2022 r., działając na terenie województwa śląskiego i opolskiego, wyłudziła nie mniej niż 132 mln 240 tys. 912 zł. Kasa ta pochodziła z subwencji oświatowych przekazanych 21 gminom i powiatom przez Ministerstwo Finansów. Z samorządów wyciągano pieniądze z dotacji oświatowych na prowadzenie niepublicznych szkół o uprawnieniach szkół publicznych dla dorosłych. Myk polegał na martwych edukujących się duszach, które widniały jedynie na sprawozdaniach placówek edukacyjnych i na które – via samorządy – szły państwowe pieniądze. Jak widać bez żadnej kontroli, bo dla urzędników wszystko, co ma w nazwie szkoła, jest godne zaufania bardziej niż Polska dla Stanów Zjednoczonych.

● W ramach restrykcji za wprowadzenie na nas chipowego embargo z polskich sklepów zniknął przysmak każdego Amerykanina o nazwie „masło orzechowe”. Oficjalnym powodem tego jest przepis mówiący, iż nazwa „masło” może być zastosowana tylko do przetworów mlecznych. Produkty wytłacznie roślinne nie mogą posługiwać się nazwą „masło” nawet wówczas, gdy uzupełniona jest ona wyjaśnieniem lub opisem wskazującym na roślinne pochodzenie danego produktu.

TTJ

4 miesiące, 80 lat temu



ILLUSTR. PAVEL FERENC

Jak wygasła wielka wojna

Zbliża się 80. rocznica zakończenia II wojny światowej w Europie. Jej ostatnie cztery miesiące wypełniły wydarzenia ważne militarnie i politycznie. W połowie 1944 r., gdy Niemcy zostały wstrząśnięte nieudanym zamachem na Hitlera (20 lipca) i falą okrutnych represji, jakie w wyniku tego wydarzenia spadły na niemiecką generalicję, wielu optymistów wróżyło szybki tej wojny koniec. W rzeczy samej kilkudziesięciu generałów zawisło na strunach; zmuszono do samobójstwa nawet ulubieńca Rzeszy, „Lisa Pustyni” feldmarszałka Erwina Rommla. Ale Hitler ocalał i odporność Niemiec okazała się jeszcze znacząca. Optymiści się pomylili.

1

Największe rozczarowanie przeżył brytyjski marszałek Bernard Montgomery, który dzięki pomocy Churchilla uzyskał zgodę Amerykanów na operację wojsk spadochronowych w celu opanowania mostów w delcie Mozeli i Renu oraz wdarcia się tą drogą do centrum Niemiec. Zaplanowana na wrzesień 1944 r. operacja „Market Garden” miała pozwolić na zakończenie wojny jeszcze przed końcem roku. Operacja – przez wielu wojskowych traktowana jako fantazja nie do zrealizowania, a ponadto źle przygotowana i fatalnie dowodzona – zakończyła się katastrofą. Większość desantowanych spadochroniarzy zginęła lub trafiła do niewoli.

Także Niemcy pod koniec 1944 r. podjęli ostatnią próbę odwrócenia na swoją korzyść sytuacji na froncie zachodnim. 16 grudnia ruszyła kontraofensywa w Ardenach dowodzona przez feldmarszałków Gerda von Rundstedta i Waltera Modela. Udało się do niej wysuwać z Wehrmachtu 30 sprawnych dywizji, w tym 10 pancernych. Wykorzystując zaskoczenie Amerykanów oraz złą pogodę uniemożliwiającą aliantom użycie lotnictwa, w pierwszym tygodniu Niemcy osiągnęły znaczne sukcesy. Ich dywizje posunęły się o 150 km w kierunku zamierzonego celu – portu Antwerpia. Ostatecznie jednak ta kontrofensywa angażująca resztki niemieckich wojsk zakończyła się ich totalną klęską. Spowodowały ją dwa czynniki: błyskawiczny kontratak z południa 3. Armii gen. George’a Pattona oraz zmiana pogody umożliwiająca wykorzystanie alianckiej – wtedy już przygniatającej – przewagi w lotnictwie, które sparaliżowało logistykę wojsk niemieckich. W rezultacie Niemcy czolgiści porzucali swe maszyny – wciąż sprawne, ale unieruchomione przez brak paliwa – i na piechotę uciekali za linię Zygrydy. Straty w ludziach po obu stronach były porównywalne, ale strat w sprzecz

Niemcy już nie byli w stanie wyrównać. Los bitwy został przesądzony przed Nowym Rokiem, a walki wygasły w następnym tygodniu.

2

U progu 1945 r. Rzesza hitlerowska wciąż reprezentowała liczebnie znaczną siłę (7 mln wojska) oraz władała obszarem od Wisły po Ren, wybrzeżem Bałtyku na zachód od Kłajpedy ze znacznymi garnizonami broniącymi się w Kurlandii. Na południe od Karpat w ręku Niemiec pozostawały Węgry, Słowacja, Chorwacja, Austria i połowa Włoch. Były to jednak tylko pozory siły. Wehrmacht już nie przypominał tego sprzed roku czy dwu. Połowę stanu osobowego stanowiły zaciągi podstarzałego Landsturmu oraz nastolatków z Hitlerjugend. Ponadto mobilność szeregów gwałtownie spadła po opanowaniu przez armię radziecką Rumunii i ostatniego liczącego się zagłębia naftowego w zasięgu Niemiec. Resztki dostępnego paliwa otrzymywały doborowe dywizje SS. Reszta wojska musiała przestawić się na ciąg konny. Pod koniec 1944 r. liczba koni w niemieckiej służbie wojskowej zwiększyła się o cały milion. Brak paliwa praktycznie unieruchomił Luftwaffe. Ostatnim – dość zaskakującym – atutem tej słabnącej armii było nadspodziewanie wysokie morale jej szeregów. Słabo wyszkoleni młodzieńcy z Hitlerjugend zadziwiali fanatyczną odwagą i zdolnością zadawania znacznych strat radzieckim i alianckim wojskom pancernym za pomocą bardzo skutecznych panzerfaustów (granatników). Postawę niemieckich nastolatków w tej fazie wojny opisał Günter Grass, który wówczas wstąpił do dywizji pancerniej SS motywowany chęcią odwetu za dywanowe naloty alianckie na dzielnice mieszkaniowe miast niemieckich. Goebbels po spotkaniu z dywizją Hitlerjugend z podziwem zanotował: *idą w bój jak na nabożeństwo*.

3

Niemcy wojnę zdecydowanie przegrywały, koniec się zbliżał, zostały tylko miesiące, ale aby ten los się dopełnił, musiało jeszcze zginąć wiele tysięcy żołnierzy po obu stronach. Zwłaszcza czerwonoarmistów. Pod koniec rządów Jelcyna ukazało się wydawnictwo rosyjskiego ministerstwa obrony pod tytułem „Uchylamy klauzulę tajemności”, zawierające statystyki wojskowe o stratach wojennych ZSRR w czasie jego istnienia, głównie w II wojnie światowej. Relacja ta wygląda bardzo wiarygodnie. Według niej w ostatnich czterech

miesiącach wojny w Europie „straty nieodwracalne” (w języku statystyk oznaczało to zabitych i zaginionych bez wieści; w tym okresie wojny już głównie zabitych) wyniosły 800,8 tys. Tytuł żołnierzom przydarzył się ten szczególnie przykry pech: ginęli, gdy wojna dobiegała końca, a pokój był w zasięgu ręki. Strat zwanych „sanitarnymi” – czyli rannych – było w tym czasie 2212,7 tys. Łącznie nieco ponad 3 mln. Zdumiewająco dużo, trochę tylko mniej od strat z lata i jesieni 1944 r., kiedy to toczyły się najbardziej krwawe bitwy tej wojny, w których zostały zniszczone niemiecka Grupa Armii Centrum i Grupa Armii Zachodnia Ukraina. Te straty spowodował nie tylko i nie tyle opór stawiany wojskom radzieckim przez bardzo już osłabiony Wehrmacht, ile nierozsądne z punktu widzenia wojskowego decyzje Stalina oraz brawura niektórych jego marszałków.

4

W połowie stycznia 1945 r. w odstępach dwudniowych wielką ofensywę znad Wisły i Wisłoku ku Odrze rozpoczęły dwa najważniejsze radzieckie fronty: 1. Front Ukraiński (1FU) i 1. Front

Białoruski (1FB); każdy siłą ponad 1 mln żołnierzy. Łącznie: 138 dywizji i cztery armie pancerne.

W toku przygotowań do tej ofensywy Stalin powziął budzącą wiele wątpliwości decyzję personalną. Marszałka Konstantego Rokossowskiego, wsławnego wodza operacji „Bagration” i pogromu niemieckiej Grupy Armii Centrum, przesunął na sąsiedni, raczej pomocniczy odcinek frontu, a dowodzenie 1FB – ostrzem skierowanego na Berlin – powierzył marszałkowi Gieorgijowi Żukowowi. Dziwiono się tej decyzji, kompetencje Rokossowskiego nie podlegały bowiem dyskusji. Z punktu widzenia żołnierzy była to zmiana niepokojąca – Rokossowski słynął z oszczędzania ludzi, Żukow zaś miał skłonność do szafowania ich krwią.

Współcześni historycy rosyjscy nie mają wątpliwości: zastępując Rokossowskiego Żukowem, Generalissimus miał na widoku kwestie etniczne. Sądził, że operacją berlińską – i symbolicznym zakończeniem wojny zwanej ojczyźnianą – dowodzić powinien Rosjanin, a nie Polak.

Rokossowskiemu ten despekt usiłował po wojnie złagodzić, powierzając mu dowodzenie wielką paradą zwycięstwa.

Dzień po rozpoczęciu ofensywy przez dwa główne fronty do natarcia przystąpił niewiele słabszy 2. Front Białoruski: ponad 800 tys. ludzi, 60 dywizji, jedna armia pancerna. 2FB, dowodzony już przez Rokossowskiego, miał misję oczyszczenia z przeciwnika wybrzeży Bałtyku i ubezpieczenia wojsk 1FB od północy; w dalszej perspektywie miał udzielić wsparcia operacji berlińskiej. Siły radzieckie były ponad dwa razy liczniejsze od przeciwnika; w sprzecz i sile ognia ta przewaga wynosiła 5 do 10 razy. Pierwsza faza ataku została zrealizowana błyskawicznie. Pod koniec stycznia, po przebyciu 500 km, czołowe dywizje obu frontów osiągnęły Odrę i Nysę Łużycką oraz zdobyły przyczółki na ich drugim brzegu.

Drugi etap – umocnienie pozycji skrzydeł, uwolnienie od przeciwnika wybrzeża bałtyckiego po Szczecin, a na południu opanowanie Węgier i Słowacji – zajęł więcej czasu i wymagał znacznych ofiar. Ciężkie boje na Wale Pomorskim i w bitwie o Kołobrzeg stoczyła 1. Armia Wojska

Polskiego. Szczególnie trudne okazało się zdobycie Budapesztu i zachodnich Węgier. Tu znaczne straty poniosły dwa mniejsze fronty ukraińskie 2. i 4. Ubezpieczenie obu głównych frontów od północy i południa zostało w pełni zrealizowane dopiero w początkach kwietnia.

5

W lutym 1945 r. na krymskiej konferencji Wielkiej Trójki ustalono podział teatru wojennego na końcową fazę wojny. Linia rozgraniczenia wojsk radzieckich i zachodnich miała przebiegać od Kanału Kilońskiego wzdłuż Łaby, potem granicą Czechosłowacji i Jugosławii do Triestu. Wojska każdej ze stron miały zająć „swoje” tereny. Podejrzliwy Stalin nie ufał zachodnim sojusznikom, obawiał się, że stworzą korzystne dla siebie fakty dokonane. Nalegał więc na swoich marszałków, aby się spieszyli i zagarniali to, co im przypada. Ten pośpiech powodował większe i zbędne straty. Stalin nie lubił pozostawać na tyłach enklaw niemieckich – otoczonych, ale niezdobytch miast itp. Nalegał na czyszczenie terenu, co też zwiększało straty.

Ponadto Żukow zdecydował się w operacji berlińskiej eksperymentować. Nakazał swoim żołnierzom iść do ataku pełnym wzrostem, a przeciwnika oślepić przeciwlotniczymi reflektorami. Spaliło to na panewce. Niemcy łatwo wyeliminowali reflektory ogniem karabinów maszynowych, a nacierające pełnym wzrostem szeregi czerwonoarmistów kosili tysiącami. Ostatecznie wojska radzieckie zwyciężyły – miały zbyt wielką przewagę – ale straty poniosły ogromne. Chwały Żukowowi te pomysły nie przysporzyły.

6

Zanim jednak wojna się skończyła, wielomilionową armią radziecką wstrząsnęły wydarzenia, które nie przyniosły jej chwały, a zagroziły demoralizacją i utratą zdolności bojowej. W miarę jak front zbliżał się do niemieckich granic, w propagandzie radzieckiej – za cichą zgodą Stalina – pojawiły się wezwania do odwetu. Poczynny pisarz Ilja Erenburg wzywał do zabijania w Niemczech nawet psów i kotów, bo w tym kraju nie ma niewinnych. Kiedy Armia Czerwona przekroczyła granicę Niemiec, zaczęły się więc bachanalia. Nie oszczędziły też ziem polskich wcielonych do Rzeszy. Jej pierwszą ofiarą padły kobiety, drugą – zegarki. Zegarki kradziono, a kobiety powszechnie gwałcono. Ktoś w wysokim dowództwie wpadł też na pomysł, aby zezwolić żołnierzom na wysłanie do rodzin po jednej paczce: oficerom osiem kilogramów, a reszcie po pięć. Z miejsca kilka milionów zbrojnych ludzi rzuciło się na poszukiwanie „towaru” na paczki – głównie tkanin, odzieży, obuwia. Handel nie działał, pozostała grabież. Zaniepokojeni dowódcy frontowi alarmowali: to grozi demoralizacją i osłabieniem dyscypliny.

Zaniepokoił się też Stalin i rozkazał powstrzymać te gwałty i rabunki. „Prawda” opublikowała wywiad z wodzem, w którym sprzeciwił się on odwetowi. Jedno zdanie obiegło świat: *Huleryzy przychodzą i odchodzą, a naród niemiecki pozostanie!* Następnego dnia na froncie podczas porannych zbiórek żołnierze wysłuchali rozkazu Żukowa. Informował, że poprzedniego dnia nakazał rozstrzelać kilku wymienionych z nazwiska oficerów i podoficerów za „grabież i maruderstwo” oraz zapowiadał surowe karanie tych występków w przyszłości. Akcję paczkową przerwano – kto zdążył, ten wysłał, reszta obeszła się smakiem.

Orgii rabunków i gwałtów położono kres, choć nie od razu. Przywracanie porządku przeciągnęło się aż do końca wojny. Radzieccy korespondenci wojenni opowiadali taką historię: znane w całym świecie zdjęcie trójki radzieckich sierżantów zatykających flagę na zdobytym Reichstagu, po zainscenizowaniu i wykonaniu, było już przygotowane do wysyłki do Moskwy. Wtedy za przerwaniem zauważono, że wieszający flagę ma dwa zegarki, po jednym na każdej ręce. Oczywiście ten z prawej wymiksowano i skandalu nie było – ale niewiele brakowało.

7

Po 80 latach nasuwa się refleksja. Wschodnie Niemcy pod koniec wojny ciężko dotknęła plaga radzieckich gwałtów i rabunków, a potem było jeszcze 40 lat okupacji i stacjonowania kilkudziesięciu radzieckich dywizji. Wydawało się, że trauma tych doświadczeń powinna we wschodnich landach pozostawić silną rusofobię. Jest jednak odwrotnie: obserwujemy tam raczej rusofilie i sympatię do Putina silniejsze niż gdziekolwiek indziej w Niemczech. Rosnąca w siłę prawicowa partia Alternative für Deutschland (AfD) pokrętnie kojarzy te sympatie z nacjonalizmem i populizmem. Na zachodzie Niemiec tymczasem – choć doświadczono wiele dobrodziejstw od Stanów Zjednoczonych z planem Marshalla na czele – wciąż daje o sobie znać tradycja marszów wielkanocnych pod hasłem: „Yankee go home” (Jankesi, wynocha!).

Ludowe sympatie, jak widać, pokrętnymi chodzą drogami. Pisał o tym Mickiewicz w niezbyt lubianym w Polsce wierszyku: *Ręce za lud walczące sam lud poobcina! Imion ludowi miłych lud pozapomina...*

M.Z.

Jeszcze w 2017 r. żeby zdobyć sławę medialną, wystarczyło usiąść na wrocławskim pomniku rotmistrza Pileckiego i dać sobie zrobić zdjęcie, które później trafiło do sieci, gdzie wpadało w oko posłom PiS Dominikowi Tarczyńskiemu i Stanisławowi Pięcie. I dochodziło do cudownego przemienienia sweet foci w dowód przestępstwa. I to takiego, które miało swój własny, 261. artykuł w Kodeksie karnym: *Kto znieważa pomnik lub inne miejsce publiczne urządzone w celu upamiętnienia zdarzenia historycznego lub uczczenia osoby, podlega grzywnie albo karze ograniczenia wolności.*

Kryminogeny selfik

Postowie wysłali stosowne zawiadomienia do prokuratury. Pięta załączył do doniesienia wydruki materiałów z internetu i wskazał śledczym, że *podejrzani, profanując miejsce pamięci Rotmistrza Witolda Pileckiego umyślnie i z zamiarem bezpośrednim, nie tylko niszczyli złożone tam kwiaty, kładąc się na nich i urządzając swoisty „piknik”, ale także utrwalili ten fakt fotograficznie, obnosząc się z tym publicznie w mediach elektronicznych.*

Tarczyński zobaczył zaś na zdjęciu przestępstwo polegające na skandalicznym i oburzającym zachowaniu osób znieważających pomnik rotmistrza Pileckiego – *Wielkiego Bohatera Narodu Polskiego*. Tarczyński wiedział, na czym miała się skoncentrować prokuratura. Kazał jej bowiem szukać osób, które podjęły się tych działań biernie oraz czynnie. Ale to nie wszystko: *Ważnym wydaje się ustalenie tożsamości autora zdjęcia oraz świadczeń niewidocznych na fotografii.*

Pięcie, Tarczyńskiemu, a nawet prokuraturze i policji nie udało się nigdy ustalić, co na to pomnik Pileckiego. A konkretnie, czy przez zachowanie imprezujących pracowników pobliskiej knajpy poczuł się znieważony? Ba, pomnik rotmistrza nie upoważnił nawet nikogo, by występował w jego imieniu. Skąd zatem pewność panów posłów, że do znieważenia doszło? Ano stąd, że funkcjonuje taki debilny zapis w Kodeksie karnym. Zapewnia on od lat pracę zarówno policjantom, jak i prokuratorom. Choćby w Białymstoku, gdzie od lat dochodzi – zdaniem wymiaru sprawiedliwości – do znieważania pomnika Ludwika Zamenhoffa. Znieważania przez zasikanie.

Pomnik twórcy esperanto stoi w miejscu, które zapewnia sikającym rzekomą intymność. Wydaje im się, że jak opróżniają pęcherz, to nikt ich nie widzi. Tak jednak nie jest. Zarówno mocz padający na płytę cokotu, jak i uwalniająca się odeń osoba są bowiem w ukrytej kamerze miejskiego monitoringu. Znajdujący się w okolicy patrol ma stuprocentową szansę ujęcia przestępcy. Tak właśnie: przestępcy! Nikomu bowiem przez myśl nie przechodzi, by sikanie na pomnik uznać za to, za co publiczne sikanie zazwyczaj biorą strażnicy miejscy i policjanci: za wykroczenie przeciwko obyczajności. Stąd w Polsce sikanie w okolicach pomników powoduje, że zostajemy kryminalistami.

Tak jak pan, który znieważał Stefana Czarnieckiego w Warce. Facet z kumplem robili sobie po pijaku sesję fotograficzną z hetmanem i wspinali się na pomnik a podczas schodzenia złamali szablę. Dla policji istotne było, że złoczyńca *zalał swoją potrzebę fizjologiczną wprost na cokół monumentu*. Stąd oskarżenie nie o uszkodzenie mienia ani o nieobyczajne zachowanie. Zarzut był tylko jeden – znieważenie pomnika.

Pomniki w Polsce wzmagają przestępczość

Cokoły pod specjalnym nadzorem

Dwaj mieszkańcy Wałbrzysza, nawiedziwszy Szczawno-Zdrój, zapragnęli mieć selfie z Henrykiem Wieniawskim. Nastolatki, usiłując wybrać dla siebie najkorzystniejsze ujęcie, odlupali kawałek wioliny. Kawałek wart trzy tysiąki. Oczywiście zostali przestępcami, którzy dopuścili się znieważenia pomnika. Ale tym razem wyciągnięto im też uszkodzenie mienia wraz z obligiem wyrównania tej straty.

To przypadki sprzed kilku lat. Teraz bowiem media znieważaniem większości pomników się nie zajmują. A przecież tych przestępstw nie ubywa, a wręcz przeciwnie. O ile w 2009 r. było ich 21, to potem przez parę lat skoczyło do 30–35, by osiągnąć 72 znieważenia w roku 2014. Potem znowu nieco siadło, ale w 2022 r. rekord został pobity, kiedy stwierdzono 66 zniewag spiżu.

Dla mediów temat znieważania zwykłych pomników przestał być nośny. Wyjątkiem są Gorlice. A i to nie dlatego, że na Pomniku Bohaterów Ziemi Gorlickiej czarną farbą napisano z każdej strony: *Mamy przeszłość, nie mamy przyszłości*, domalowano znak klepsydry w okręgu i litery XR. Czyli skrót nazwy ekstremistycznych klimatystów noszących nazwę Extinction Rebellion. Miejscowe media zajęły się tym dlatego, że lokalna władza przez wiele miesięcy nie radziła sobie ze zmyciem z postumentu farby.

Krwawy papież

Od lat dziennikarze zajmują się skwapliwie politycznymi znieważeniami pomników. Za takie zaś uchodzą te wymierzone w JP2. Akcję zapoczątkował parę lat temu młody człowiek ze Stargardu. Wdrapał się na

szczyt pomnika, kazał komuś znajomemu strzelić sobie fotkę i zamieścić ją na Fejsie. Stargardzka policja ujęła przestępcę. Mimo że chłopak nie sikał ani niczego nie zniszczył, to usłyszał zarzut znieważenia pomnika Jana Pawła II, na którego mitrę się wspiał, pozując do zdjęcia. Znieważający pomnik był również, zdaniem śledczych wpis na Facebooku: *Ja i mój papaj. Czekam na 2137 like* – brzmiała ta obelżywość w stosunku do świętego.

W tym roku na stronie świdnickiej policji pojawiła się notka o tym, że nietrzeźwy 29-latek wtar-

gnął do katedry w czasie mszy. W rękach trzymał dwie puszki piwa. Wyprowadzony z kościoła *rzucił puszką z piwem w stronę bawiących się dzieci, a następnie zaatakował pomnik św. Jana Pawła II. Najpierw okładał go pięściami, potem zdjął bluzę i zarzucił ją na pomnik. Tę falę agresji i wściekłości przerwał patrol naszej jednostki* – pochwalili się dzielni stróże prawa, po czym dodali, że facet odpowie nie za pobicie figurki ze skutkiem nieśmiertelnym, ale za znieważenie pomnika.

W kwietniu 2023 r. ręce figury papieża przed bazyliką archikatedralną w Łodzi ktoś pomalował czerwoną farbą, a twarz JP II zamazał na złotą. Na granitowym cokole pojawił się biały napis „Maxima culpa” – nawiązanie do tytułu książki Ekkego Overbeeka. Pomnik został oczyszczony tego samego dnia. Sprawcę w osobie studenta pojmano po miesiącu. Usłyszał zarzuty dotyczące znieważenia pomnika i obrazy uczuć religijnych. Groziły mu dwa lata pierdła. Sędzia stwierdził, że jeśli czyn studenta miał nieść jakąś treść, była ona znieważająca, za co należą mu się cztery miesiące więzienia z warunkowym zawieszeniem na rok oraz grzywna, nawiązka i częściowe pokrycie kosztów procesu.

Sprawa będzie miała jednak ciąg dalszy i kto wie, czy nie sensowniejszy. Nadzieję napawa fakt pomalowania w 2020 r. czerwona farbą pomnikowych rąk JP2, w proteście przeciwko pedofilii w Kościele. Organy potraktowały ten czyn jako przestępstwo znieważenia pomnika i obrazy uczuć religijnych. Sąd pierwszej instancji uznał oskarżoną winną tego pierwszego czynu.

W apelacji skazana podkreśliła, że nie wypisała wulgaryzmów ani innych obraźliwych słów, a samo w sobie pomalowanie pomnika – w sposób symbolizujący, iż papież ma *krwawą na rękach* – nie może być uznane za znieważenie tego pomnika. I uwaga! – sąd odwoławczy uznał tę argumentację, po czym uniewinnił oskarżoną od zarzutów. Uzasadnił to tym, iż

nie można nie odróżniać znieważenia pomnika od pokojowego sprzeciwu wobec kontrowersyjnego orzeczenia tzw. TK i karygodnego zjawiska tuszowania przemocy seksualnej i pedofilii w Kościele katolickim.

Krew na rękach pomnika stanowiła więc przejaw korzystania z praw wynikających z art. 54 konstytucji.

Ale może być jeszcze zabawniej. Wystarczy wrócić do pewnego wyroku w sprawie ciągnącej się od września 2011 r., gdy dwóch młodych, należących do ZHR patriotów wzięło farbę, pojechało pod warszawski pomnik czterech śpiących i Pomnik Wdzięczności Żołnierzom Armii Radzieckiej i napisało na nich *czerwona zaraza*.

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Muzeum Historii Ziemi Kamieńskiej w Kamieniu Pomorskim ogłosiło epokowe odkrycie: denar Otto na III sprzed 1000 lat, znaleziony przez poszukiwacza ze Stowarzyszenia im. św. Korduli. Muzeum tłumaczy ciemnemu ludowi symbolikę krzyża na monecie, podkreślając sakralne fundamenty władzy cesarskiej. Tymczasem podobnych „sensacji” denarowych z czasów Otto naliczyliśmy 15 na Allegro, w cenach od 5 do 200 zł. Święta Kordulo, módl się za tych kamieńskich muzealników!

■ Sześćdziesięciosześcioletnia torunianka życzyła Jerzemu Owsiakowi śmierci w internecie. Groźba „giń, czeku” skończyła się policyjnym dozorem, zakazem kontaktu i zbliżania się do Owsiaka na mniej niż 100 m, a także zakazem publicznego wypowiadania się na jego temat – poinformował Andrzej Kukawski z Prokuratury Okręgowej w Toruniu. Ot, potęga słowa pisanego!

■ Kolejny idiota postanowił zabłysnąć w internecie. 38-latek z Odrzykonii oferował 100 tys. zł za zastrze-

lenie Owsiaka. Przyznał się. Pewnie myślał, że to taki sam żart jak zbieranie na WOŚP. Prokurator Zbigniew Piskozub z Krosna prowadzi sprawę.

■ Ze wstępnych ustaleń policji z Ursynowa wynika, że sprawca, obywatel Ukrainy, przeciął metalową osłonę bankomatu, a następnie przy pomocy młotka i łomu usiłował dostać się do środka. W pojeździe, którym się poruszał, znaleziono szlifierkę kątową, haki holownicze, tarcze do pily i drut. Sprawa ma charakter polityczny i międzynarodowy, gdyż okradany bankomat miał, rzekomo, dostarczyć Ukrainie środków na dalsze finansowanie wojny z rosyjską agresją.

■ Dwóch celników z Gdyni, speców od zwalczania nielegalnego hazardu, przez siedem lat brało udział w zorganizowanej grupie przestępczej... zajmującej się nielegalnym hazardem. Zarobili na tym pół miliona, ale konflikt interesów musieli mieć potworny – zwalczać hazard czy go promować? Teraz grozi im 15 lat i konfiskata majątku wartego 1,5 mln, twierdzi Prokuratura w Szczecinie. Hazard to zawsze ryzykowna gra o to kto kogo oskubie.

■ Na gdańskim osiedlu przy ul. Aliny Pienkowskiej od dwóch lat panuje terror. Terrorystą jest beżpański pies, który pogryzł już kilka innych psów i rzuca się na ludzi. Mieszkańcy uzbroili się w gaz, pałki, noże i paralizatory. Antyterrorystów nie widać. Może boją się pogryzienia albo są zajęci obezwładnianiem groźnych księgowych.

■ Kandydat na radnego w Kielcach Michał Derecki, jak twierdził, startując pierwszy raz w wyborach do rady miasta, nie liczył na to, że uzyska mandat. Ale doznał niemałego szoku, dowiedziawszy się, że nikt na niego nie głosował! Wprawdzie wybory są tajne i nie można

ustalić, kto na kogo głosuje, ale Darecki utrzymywał, że powinien dostać przynajmniej jeden głos. Swoją własny. Skierował sprawę do prokuratury, ta do sądu, a ten nakazał ponowne przeliczenie głosów oddanych na Dareckiego. W rezultacie okazało się, że tak naprawdę oddano ich 214, co oznaczało, że jego kalkulacje były słuszne. Mandatu nie zdobył. Po co było zatem to zawracanie tyłka?

■ Dr inż. Mikołaj Kaczmarek z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu ujawnił, że na wierzbach w środku miasta mieszkańcy żaby. *To niezwykle odkrycie otwiera nowe perspektywy w rozumieniu zachowań żab i jest początkiem fascynującej historii, która rzuca światło na zupełnie nieznane dotąd aspekty życia płazów w naszym otoczeniu* – wyjął doktor inżynier. No jasne, jakże by inaczej.

■ Mieszkanca Zambrowa poprosiła dzielnicowego o pomoc w zmotywowaniu 33-letniego syna do podjęcia pracy. Policjant odwiedził męczenną w mieszkaniu. Poczł zapach marihuany, co skłoniło go do przeprowadzenia rewizji. W łódzkiej znalazł 7 gramów suszu, który test potwierdził jako zioło. Narkoman został aresztowany. Grozi mu kara do trzech lat więzienia, w którym jest huk roboty. Dzielnicowy wzorowo wywiązał się ze swoich powinności wobec obywatelki Zambrowa.

■ Z Traperskiej Osady w Bolechówku (pow. poznański) wprowadzono strusia Zenka. Zenek miał 2,5 m wzrostu i 200 kg żywej wagi. Był silny, a w dodatku potrafił kopnąć – utrzymują media. Zatem porwywaczom musiało być bardzo trudno. W niejasnych okolicznościach struś wykaraskał się jednak. Prawdopodobnie pobit kładnaperów, ponieważ wrócił do strusiownika z podbitym okiem i złamanym skrzydłem. Jednak w rezultacie traumatycznych wydarzeń i z nerwów

R E K L A M A

Paweł Siergiejczyk
IPN należy zlikwidować

Prof. Robert Traba
Bezmyślne zacieranie śladów przeszłości

Robert Walenciak
PiS krzyczy i grozi koalicji

Jacek Pałkiewicz
50 lat od samotnego rejsu

tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Dokument, jakiego jeszcze nie było

POLSKA HOJNA WOBEC KOŚCIOŁÓW

W 2015 r. sąd umorzył postępowanie w sprawie znieważenia pomników. Sędzia stwierdził, że identyfikuje się z tym czynem, który uważa za patriotyczny. Te pomniki były – jego zdaniem – hańbą dla narodu polskiego i polskich władz. Ubolewał wręcz, że musi orzekać na podstawie przepisów, które są niezgodne z konstytucją. Sędzia wywnioskował bowiem, że nie można skazać kogoś za przestępstwo wobec pomników, które zdaniem wysokiego sądu same są przestępstwem i powinny zostać rozebrane.

Pomniki radzieckie i ku chwale utrwalaczy władzy ludowej przez dziesięciolecia były w PRL świętością. Niemal tak jak przez lata święte były postumenty Wojtyły, który w świadomości historycznej coraz mniej jest bohaterem, a coraz więcej parasolem ochronnym nad międzynarodową siatką pedofilską. Jak historia przyspieszy, to pomniki JP2 może czekać to samo co postumenty Dzierżyńskiego, Lenina czy ks. Jankowskiego, a wtedy państwo zacznie wypłacać zadośćuczynienia ich skazanym znieważycielom.

Obrońcy godności rzeźb

Oprócz pomników JP2 na celowniku mediów znajdują się wciąż próby wejścia na schody smoleńskie. Ale odkąd osoby się na nie wdrapujące zaczęły być odwożone do psychuszki, to i ten temat staje się dla publikatorów passé. Media ruszyła jeszcze sprawa znieważenia Pomnika Ofiar Rzezi Woli, ale tylko do momentu, gdy okazało się, że 76-letnia pani oblała go kawą z resztkami spożywczymi. Zeby pomnik był cacy, wystarczyła miska z wodą i minuta czyszczenia. Ale prokurator musiał zarzut znieważenia pomnika postawić.

Inną aferą, i to międzynarodową – bo w sprawę wdała się ambasada Izraela oraz minister Tomasz Siemoniak – stało się coś, czego starcie nie wymagało nawet rozpuszczalnika. Pomnik Bohaterów Getta w Warszawie został znieważony kredą, którą narysowano na nim czerwono-czarne barwy flagi banderowskiej.

W październiku Europejski Trybunał Praw Człowieka zakomunikował polskiemu rządowi skargi dotyczące dziwieńciu spraw karnych ingerujących w wolność słowa. Jedną z nich jest kwestia znieważenie pomnika. *Polskie prawo karne w wielu aspektach odstaje od międzynarodowych standardów wolności słowa. Czas to zmienić* – ocenia od lat Helsińska Fundacja Praw Człowieka. Teraz jest szansa, że ETPC uzna ściganie za znieważenia pomnika za niezgodne z prawem. Ale politycy zapisów Kodeksu karnego nie zmieniają. Bo obrońcami postumentów nie są tylko posłowie PiS.

W styczniu z art. 261 skorzystał szermierz walki o praworządność Michał Szczerba. A to dlatego, że pod pomnikiem AK odbywała się manifestacja w obronie Wąsika i Kamińskiego, a w jej trakcie pomnik służył za ekran, na którym wyświetlano facjaty ułaskawionych przez Dudę. *Ten atak na ideę, wartości i symbolikę tego pomnika to zniewaga dobra prawnego związanego z naszą pamięcią narodową* – napisał Szczerba. Po czym skrobnął zawiadomienie o podejrzeniu przestępstwa znieważenia pomnika AK i Polskiego Państwa Podziemnego.

TADEUSZ JASIŃSKI

wyzionął strusiego ducha. Winnych morderstwa aresztowano. Ich sytuacja jest nie do pozazdroszczenia. Motywy uprowadzenia ptaka badane są przez prokuraturę.

■ W Sądzie Okręgowym w Warszawie rozpoczął się proces Marcina Z., byłego policjanta podejrzanego o zabójstwo 53-letniego budowlańca, któremu był winny pieniądze za usługę. Z ustaleń prokuratury wynika, że policjant najpierw uderzył robotnika w głowę. Kiedy ten nieprzytomny upadł na betonową posadzkę, przy użyciu ręcznej piły i siekiery rozczłonkował jego ciało. Jest to kolejny dowód na to, że z policją zadzierać nie warto, a już bezczelnością jest domagać się od niej jakichkolwiek pieniędzy.

■ Podczas ostatniej sesji rady miejskiej w Łodzi radni postanowili dolać 3 mln zł do budżetu Portu Lotniczego Łódź im. Władysława Reymonta. Port ten, w ponad 95 proc. należący do miasta, pochłania publiczne pieniądze szybciej niż odrzutowiec paliwo. W 2023 r. strata netto lotniska wyniosła ok. 40 mln zł. Jak wyliczyła „Gazeta Wyborcza”, od 2005 r. (gdy wylądował pierwszy samolot tanich linii) do 2021 samorząd dopłacił do tego luksusu ok. 450 mln zł. Miasto chciałoby pozbyć się aerodromu, ale w kontekście strat pobliskiego lotniska w Radomiu i planowanego Centralnego Portu Komunikacyjnego chętnych na zakup brak. Łodzianie pozostają więc z lotniskiem jak Himilbsbach z dwoma lewymi butami. Ani sprzedawać, ani nosić.

RJ

PS Wieści z prasy regionalnej, gdzie prawda bywa elastyczna, jak gumka od majtek, należy traktować z ostrożną poważnością. Unikajmy generalizacji, chyba że są na naszą korzyść. Nie wyciągajmy także żadnych wniosków natury cywilno-prawnej.

Prywatna progenitura

Ustawami Kamilka pudruje się prawdziwe krzywdzenie dzieci.

Patryk Jaki, mówiąc w 2017 r., że *dzieci są własnością rodziców*, nie kłamał. Zarówno prawo, jak i praktyka Rzeczypospolitej od ponad 30 lat upewniają o tym każdego. Najprostszym przykładem jest wizyta u pediatry. Lekarz będzie się zwracał nie do badanego 10-latka, ale do rodzica. Dzieciak jest dla niego tym samym, czym pies lub kot u weterynarza – czymś, co należy do dorosłego.

Wszak według art. 48 Konstytucji *rodzice mają prawo do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami*.

Delikt konstytucyjny

Matka i ojciec mogą więc robić z dzieckiem, co im się żywnie podoba. I nie ma ludzkiej siły, by na rodzicach coś wymóc – w każdym razie zanim przyjdzie pora posłania bachora do szkoły. Szkoła jest jedynym obowiązkiem rodzica, obarczonym taką sankcją, że ojciec i matka nie mają wyjścia. Za niewykonanie obowiązku szkolnego rodzicom grozi grzywna. Jednorazowo 10 tys. zł, a łącznie 50 tys. zł. Jak to nic nie da, sąd może ograniczyć rodzicom władzę rodzicielską lub nawet ich jej pozbawić.

Szkoła jest więc pierwszym poważnym ograniczeniem rodzicielskiego prawa własności do dziecka. Choć pewnie i tak nie do końca skutecznym, bo znając prawników, byłiby w stanie i od tego obowiązku rodziców uwolnić.

Tak jak zrobili to z corocznymi badaniami dziecka przez pediatrę czy z obowiązkowymi szczepieniami. W 2023 r. liczba rodziców unikających obowiązkowych szczepień wyniosła 87,3 tys., rok wcześniej było ich 72,7 tys. Mimo że szczepienia ochronne są obowiązkowe, antyszczepionkowi rodzice unikają kar, powołując się na wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 9 maja 2023 r. W sukurs przychodzą im kancelarie prawne reklamujące wprost tego typu usługi w sieci. Nie wierzyć? Proszę bardzo: *Jeśli jesteś zainteresowany, jak uchronić dziecko przed szczepieniem wynikającym z kalendarza szczepień „obowiązkowych” bez nałożenia kary finansowej, zamów u nas płatną poradę prawną w tym zakresie*. Nazwy kancelarii oczywiście nie podam, bo nie ma sensu jej reklamować.

A że szczepienia mają chronić nie tylko własność antyszczepionkowców, ale też wszystkich innych posiadaczy dzieci, dla prawników istotne nie jest. Dla polskiego prawa – jak widać – też. Wszak podwaliną Niepodległej Rzeczypospolitej jest święte prawo własności.

Kodeksy definiują własność jako *prawo rzeczowe, zezwalające właścicielowi na dysponowanie oraz rozporządzanie rzeczą z wyłączeniem innych osób*. Prawo własności posiada najsilniejszą gamę uprawnień przysługującą posiadaczowi tego prawa. Wszak w art. 64 Konstytucji napisane jest, że każdy ma prawo do własności i podlega ona równej dla wszystkich ochronie prawnej. Dopełczywuje to art. 140 Kodeksu Cywilnego, który stanowi, że właściciel może *korzystać z rzeczy zgodnie ze społeczno-gospodarczym przeznaczeniem swego prawa, w szczególności może pobierać pożytki i inne dochody z rzeczy*. W tych samych granicach może rozporządzać rzeczą.

Tylko krosty, prawie nie bołą

Nic więc dziwnego, że ze swoich uprawnień korzystała pani, która w listopadzie padła ofiarą policyjnej antypedofilskiej operacji „Enola Gay”. Wśród zatrzymanych 75 osób była kobieta, która nagrywała, jak korzysta seksualnie ze swojego małego synka, a potem filmiki udostępniała i sprzedawała osobom poznanym na portalu randkowym. Gdyby nie Interpol, który dał o tym cynk, nasi stróże prawa własności rodziców by na to nie wpadli, bo przecież pobieranie dochodów od swojej własności jest absolutnie zgodne z prawem.

Dlatego nie ma się co dziwić, że i pewni państwo z Kłodzka z tego korzystali. I gdyby nie



Ilustr. KRZYSZTOF OLENIK

donos policji australijskiej i kanadyjskiej, korzystaliby jeszcze długo. 22-latka wraz 28-letnim mężem fotografowali własne i cudze pociechy, a następnie sprzedawali zdjęcia w internecie. Od innych sweet foci z dziećmi te różniły się tym, że maluchy były na nich gołe i pokazywane w trakcie tzw. innych czynności seksualnych oraz takich, za które prokuratura zarzuciła małżonkom wspólne zgwałcenie dziecka. Tatuś, już indywidualnie, dostał dodatkowo zarzut zgwałcenia trójki dzieci – w tym także swoich. Fotograficzne i filmowe zapędy państwa realizowali przez co najmniej rok i nikomu to nie przeszkadzało. Rodzicom obcych dzieci, uwiecznianych cyfrowo, też jakoś nie.

Czerpanie pożytków ze swojej własności praktykowała i 43-letnia Monika B. spod Łukowa.

Przez kilka lat aplikowała paroletniej córce toksyczną substancję w twarz i kark. Później publikowała zdjęcia dziecka w sieci, chodziła do mediów, prosząc o pomoc i datki na leczenie strasznej choroby. Uzbierało się 200 tys. zł.

Pierwsze bolesne rany na twarzy dziewczynki pojawiły się, kiedy dziecko miało dwa lata. Matka przedstawiała sączące się wykuty służbie zdrowia oraz sądowi jako zmiany chorobowe. W 2020 r. pojawiła się nawet w programie „Uwaga! TVN”. Pięcioletnia wówczas dziewczynka mówiła przed kamerami, że to są *tylko krosty* i codziennie jej nie bołą, dopiero przy pękaniu czy odrywaniu się. Ludzie wierzyli i rzucali, ile mogli. Lekarze milczeli, sąsiedzi też mieli zakroszczone dziecko gdzieś. Sprawa się ryła, bo dziewczynka, gdy miała dziewięć lat, wypaplała coś w szkole. Ale społeczna akceptacja właścicielstwa matki nie ustąpiła. *Na mamę z tego, co wiem, na razie nie mają żadnych konkretnych dowodów. Tam dużo niedociągnięć jest, więc zobaczmy* – mówił mediom przyrodni brat dziecka, syn Moniki B.

Dzieci już nie ma

Jedną z zalet bycia właścicielem jest możliwość zniszczenia własności. A tak było w Dą-

browie Tarnowskiej. Opiekunką ogniska domowego była tam 40-letnia pani, której mąż pracował za granicą, a jej znudziły się córki. Jedna miała trzy lata, a druga pięć lat. Do znudzenia doszło którejś nocy, a jego skutkiem było zadżganie dziewczynek. Następnie na tyłach domu ich matka rozpałała ognisko. Na monitoringu, który był zamontowany na zewnątrz, nagrało się, jak pani wynosiła ciała córek i wrzucała je do ognia. Jak się już równo paliły, wysłała SMS-a do swojej matki, w którym napisała krótko: *dzieci już nie ma*.

Na wsiach ludzie się ponoć znają. Na czym jednak te znajomości polegają, skoro nikt nie zauważył, że matce zaczynają się nudzić własne dzieci? Ano na tym, że rodzina to rzecz – tak jak własność – święta. I wara od niej każdemu.

W Poznaniu było nieco inaczej. 26-letnia mamusia postanowiła pozbyć się własności w postaci trzyletniej córki: najpierw dusiła, a następnie zadała dziecku trzy ciosy nożem w okolicę serca. Po czym zadzwoniła do znajomego i pochwaliła się aktywnością. Różnica między Poznaniem i Dąbrową była taka, że poinformowany zrobił, co należało. Niestety ciężko ranna własność mamusi zmarła w czasie operacji w szpitalu.

45-letni Piotr M. własności się nie pozbył, ale z niej korzystał. Zaczął, gdy własność miała trzy lata, a on był po rozwodzie z jej matką i przyjmował córkę u siebie. Korzystanie trwało przez siedem lat, a polegało na tym, że początkowo rozkazywał jej, by przyglądała się stosunkom seksualnym, które uprawiał ze swoim partnerem. Później zaczął korzystać z córki wprost. Dziewczynka mówiła matce, że bołą ją okolicie intymne, miała też problem z trzymaniem moczu, ale ponieważ dzieci i ryby jako przedmioty głosu nie mają, to nikt jej nie słuchał. Do matki prawda dotarła dopiero po wielu latach, gdy córka napomknęła o tym, gdzie jej wkładał łapy tatuś.

Kiedy ojciec z wioski pod Chełmnem zaczął korzystać z córek, nie miały jeszcze 10 lat. Jak zaczęły dojrzawać, próbowały szukać ratunku u matki. Bezskutecznie. Po latach prokurator mógł więc napisać, że *w okresie od kwietnia 2016 roku do kwietnia 2020 roku Andrzej B. siłą zaciągał córceczki do pokoju i zmuszał do współżycia*. Gdy skończyły 15 lat, ojciec już tylko podglądał je w kąpieli – o tym również jest mowa w akcie oskarżenia. Najciekawsze, że niemal od zawsze rodzice mieli ograniczone prawa rodzicielskie, a dom był pod opieką kuratora. Ten – niczym mądre małpy sanzaru – ruszył sprawę po wielu latach, gdy 15-latki opowiedziały o rodzinie w szkole i mleko się rozlało. Wieś oczywiście o niczym nie wiedziała.

Fascynacja wspólną tajemnicą

Chyba jeszcze bardziej przerażające są komentarze pod jednym z tekstów opisującym tę sprawę. Jagoda napisała: *Gwałt wychodzi na jaw w następnym dniu lub jeszcze tego samego? Tym bardziej że jak pisze autor, dziewczynki nie skarżyły się, zaczęły mówić dopiero, kiedy znudziły się praktyką ojca. Niewłaściwie zachował się ojciec – to nie podlega dyskusji. Gwałtu dopatrzyć się jest trudno raczej. Obie były ofiarami manipulacji. Ale nie one pierwsze. Dosyć często słyszymy o podobnych sprawach. Sama byłam w podobnej sytuacji – matka przyłapała nas z bratem na zabawie w tatę i mamę. Naskarżyła tacie. Tato po przeprowadzonym dochodzeniu stwierdził, że skoro już barwiłam się penisem brata, to mogę też pobarwić się jego. Nie protestowałam, więc miałam z dnia na dzień wiele pracy i nie powiem, też przyjemność i byłam chwalebna za te usługi. Mama udarwała, że nic nie wie. Trwało to długo, ponieważ nie było przemocy, groźby i zmuszania*.

Vivien napisała: *Dwa lata współżycia to nie gwałt, czytamy takie historie kobiet, które ujawniają, że w przeszłości współżyły z ojcem. Moje doświadczenie to fascynacja wspólną tajemnicą. Było dobrze, a to, co pozostało w pamięci, to pierwsze próby wprowadzenia penisa pokąsnej wielkości. Myślałam – to się nie uda wykonać. Takich doznań w późniejszym życiu już przeżyć się nie udało. Wspominam ten czas jako bardzo miłe doświadczenie. Nie mam traumy i żalu. Wręcz przeciwnie*.

Jan ironizuje: *Ciekawie. Współżyły, a kiedy im się przejadło, to się poskarżyły. Dziś nie ma filmów z takimi panienkami, ale jeszcze 10 lat temu w sieci było pełno, kiedy małolaty z tatusem wujkiem sąsiadem zabawiały się jak damy. Nie widać było, by były siłą przymuszane, wręcz odwrotnie...* Jan, jak widać, musiał oglądać filmy w sieci z dużą uwagą.

Jeśli nawet te teksty są fejkami, to fakt, że nikt ich ze strony lokalnego portalu nie wywalił, świadczy o tym, że nie ma się co dziwić rodzicom trzypółletniej dziewczynki, która ważyła 8 kg, bo była przez swoich właścicieli karmiona winogronami i mlekiem. Oczywiście nie była też szczepiona i po urodzeniu nie widział jej żaden lekarz. Dla wsi zaś, w której mieszkali rodzice z dzieckiem, stało to było bardzo fajne, bo jak opowiadała mediom sołtyśka, *wychodzili na spacer z wózkiem codziennie i zrobili córceczce pokój z jej imieniem na specjalnym wyświetlaczu*.

TOMASZ BOROWIECKI

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ Nie gustuję w haśle: „raz sierpem, raz młotem...”, ale zaskakuje mnie, jak wiele osób poczuło się nim dotkniętych. Czyżby identyfikowali się z komunistami?

ks. Janusz Chyla, X, 14 stycznia

■ Prawdziwym zagrożeniem dla ludzkości są dziś gazy cieplarniane grzechu, globalne ocieplenie niewiary oraz transhumanistyczny upadek moralności, kiedy nikt już nie uczy o różnicy między dobrem a złem. **Najlepszym ekologiem jest ten, kto głosi Ewangelię i jej wieczną prawdę, że tylko z Bogiem można przetrwać.**

kard. Gerhard Müller, konferencja w Rzymie, 14 stycznia

■ Oskarżanie Kościoła katolickiego o systemowe grzechy to oskarżanie samego Chrystusa, Boskiego Założyciela Kościoła. **Wierni nie powinni skąpić się na upadkach i tym, co złe, ale dostrzegać poświęcenie kapłanów, z których wielu na całym świecie ginie za wiarę.**

dalej Müller

■ Jednakowo w każdym państwie Unii Europejskiej mają być przekazywane treści wymyślone, ideologiczne, (...) i w to niestety wchodzi Polska, rezygnując z naszego pięknego oblicza polskości i z tych wartości cywilizacji chrześcijańskiej. **Ideologia lewacka, ideologia neomarksizmu nie zrezygnuje sama z celów niszczenia narodu polskiego. Oni mogą ustąpić tylko wobec siły i tę siłę trzeba stworzyć.** Trzeba budować wspólnotę Polaków świadomych tego, że chcą nas zniszczyć.

Barbara Nowak, TV Trwam, 11 stycznia

■ **Trudno nawet zrozumieć, że w kulturze chrześcijańskiej, gdzie od blisko dwóch tysięcy lat istnieły spowiedź, nagle pojawia się jakiś człowiek, który domaga się wprowadzenia zakazu spowiedzi dzieci** (...) sytuacja ta jest ponowną odsłoną tego, z czym mieliśmy do czynienia za czasów stalinizmu. Wtedy też mówiono, że dzieci nie powinny być chrzczone ani chodzić do kościoła do ukończenia 18 lat. Dopiero później mogły – oczywiście te, które wytrzymają presję antyklerykalną – przyjąć i się spowiadać. **To są stare komunistyczne pociągnięcia, które podpierane są wątpliwą psychologią.**

abp Stanisław Gądecki, PAP, 10 stycznia

■ Żyjemy w czasach, że dzięki mediom gadulstwo stało się modne, jesteśmy w zupie opinii, tylko nie wiemy, który jest prawdą. I tak jak nigdy dotąd prawdziwe jest to powiedzenie, że słowa pouczają, ale przykłady pociągają. **Młodych ludzi przekona nie to, co ładnie brzmi, tylko to, co jest pociągające naprawdę, atrakcyjne. Chrześcijaństwo jest bardzo atrakcyjne tylko w zależności od tego, czy uda się je dobrze przedstawić.**

ks. prof. Robert Skrzypczak, Katolicka Agencja Informacyjna, 13 stycznia

■ Mam sporo zarzutów do programów nauczania religii... ale więcej smutku mam wobec polskich katolików, którzy na własne życzenie chcieli, by religia była banalna... **Teraz upraszczamy, że z powodu braku profesjonalizmu młodzież uległa laicyzacji...**

ks. Daniel Wachowiak, X, 18 stycznia

KLECHA

Dane na tacy

Liczne benefity Kościołów podliczone

To, że kler cieszy się w Polsce wieloma przywilejami finansowymi, jest oczywiste. Trudno od ręki wyliczyć, ile Kościół dostaje, ale MSW próbowało. W odpowiedzi na interpelację posłów Lewicy w sprawie zakresu i wysokości wsparcia ze środków publicznych dla Kościołów i innych związków wyznaniowych resort przygotował raport zbierający sumy wypłacane wprost z budżetu na etaty oraz instytucje i inicjatywy kościelne. To kropla w morzu korzyści płynących z opowiadania bajek o Boży, ale przecież kropla draży skalę. Poprzednia ekipa nie kwapiła się do podawania jakichkolwiek danych dotyczących pieniędzy dla Kościołów, mimo że takie interpelacje jak wspomniana były regularnie składane.

Uczeni w Piśmie

Oczywiście największym beneficjentem jest Kościół rzymskokatolicki, choć inne związki wyznaniowe też nie próżnują, by załapać się na ochłapy, które także pozwalają nie-źle żyć.

Mnóstwo kasy pochłaniają katolickie uczelnie wyższe. W latach 2019–2023 poszły na nie prawie dwie duże bańki. Wszystko po to, aby polska nauka obfitowała w kolejne doniosłe dzieła o zbieraniu zapalek przez JP2, na KUL-u kształcili się nowi Czarnkowie, a przyszli lekarze częściej zaglądali do Biblii niż do podręcznika anatomii. Badania nad sztuczną inteligencją to każdy głupi może prowadzić, sztuka to napisać rozprawę o Trójcy Świętej.

Choć księża są coraz mniej potrzebni zwykłym zjadaczom chleba, to służby i urzędy ciągle wymagają opieki duszpasterskiej. Czy wyobrażacie sobie na przykład, że urzędnicy Krajowej Administracji Skarbowej mogliby się obejść bez kapelana? My też sobie wyobrażamy, ale rządzący najwyraźniej nie. Na pewno zaś nie wyobrażają sobie takiej sytuacji ci, którzy na obecne zarabiają. W KAS pracuje 13 duchownych – jeden prawosławny, reszta rzymskokatolickich. Każdy z nich jest funkcjonariuszem Służby Celno-Skarbowej, zarabia około 9 tys. zł brutto. To szczególnie rozczulający przypadek, bo jeśli chodzi o podatki, to kler jest mistrzem ich unikania, o czym później.

Opieka duchowa obejmuje też policję (26 księży różnych wyznań za ponad milion złotych rocznie), Straż Graniczną (19 kapelanów przejeżdżających ponad 2 mln zł), Państwową Straż Pożarną (19 kapelanów kosztujących prawie bańkę)... Swojego kapelana ma nawet Służba Ochrony Państwa (dawniej BOR) – inkasuje on 130 tys. zł rocznie.

Osobną kategorią są kapelani szpitalni. MSW podliczyć może tylko tych, którym płaci osobiście w tzw. placówkach resortowych. W 2023 r. na kapelanów tych szpitali wydano prawie 1,2 mln zł. W pozostałych szpitalach zatrudnienie i wynagrodzenie księdza zależy od dyrekcji, która decyduje także o wymiarze pracy klechy. Nie wyliczono także, ile wydajemy na katechetów. Zarabiają oni



Rys. OBYWATEL JANIEK

tak samo jak inni nauczyciele. Wiadomo, że pracuje ich w polskich szkołach 24 tys., ale nikt nie sprawdza, ilu z nich to księża i zakonnice.

Złoty Rydzyk

Osobną kategorią wydatków budżetowych na kler jest Tadeusz Rydzyk. O ile w przypadku kapelanów mówimy o marnych tysiącach na rękę, o tyle w przypadku „dzieł” redemptorysty z Torunia mamy (a raczej mieliśmy) do czynienia z hojnym dotowaniem na wszelkie możliwe sposoby. Zdolności negocjacyjne Rydzyka są powszechnie znane. Choć nie stanowi on już tak poważnego gracza medialnego jak przed laty, to jego wpływ na prawicowe elity ma ciągle wymierny kształt materialny.

W czasach PiS do dyrektora Radia Maryja pieniądze płynęły praktycznie ze wszystkich ministerstw, a urzędnicy głowili się, jak tu by jeszcze uszczęśliwić tego skromnego mnicha. Łącznie od pisowskich ministerstw podmioty związane z Rydzykiem otrzymały 325 mln zł. Przodowało Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które sprezentowało zakonnikowi 206 mln zł, głównie na budowę Muzeum Pamięć i Tożsamość.

Niedoceniane, a wręcz pogardzane przez „prawdziwych polityków” ministerstwo kultury w czasach PiS było szalenie wpływowym resortem, za którego pomocą zdobywano przychylną wielu środowisk i postaci. Wprawdzie wizja stworzenia dzieł na miarę Hollywood pozostała w sferze fantazji, ale co wypłacono komu trzeba, to wypłacono. Rydzyk był szczególnie dopiesz-

czanym beneficjentem, któremu powierzono środki na pielęgnację zbiorowej pamięci Polaków. Na realizowanie takiej misji emerytury słuchaczy nie wystarczy.

Jezus Fiskus

Odpowiedź na interpelację posłów Lewicy to dopiero wstęp do dyskusji o finansach Kościoła. Wiemy już – szczątkowo – ile dostają, ale nadal nie wiemy, ile tak naprawdę mają. A tym bardziej nie wiemy, ile są winni społeczeństwu.

Przychody w parafiach są całkowicie poza kontrolą fiskalną i nie zanoszą się, by miało się to zmieniać. Księża bardzo się oburzają na stwierdzenie, że nie płacą podatków. Niektórzy podejmują się obrony przed tymi zarzutami, co jest dość karkołomne i wychodzi pokracznie.

Proboszcz jednej z poznańskich parafii opublikował w social mediach pismo od naczelnika urzędu skarbowego, żeby zamknąć mordy niedowiar-kom. Z treści wynika, że w 2025 r. pleban zapłaci 4032 zł zryczałtowanego podatku dochodowego. 336 zł miesięcznie.

Ryczałt ten nalicza się od liczby osób zamieszkujących parafię, także niepraktykujących, co szczególnie boli pazernych katabasów. 4 tys. zł rocznie to nie jest jakaś zawrotna kwota, co wypomnieli klesze dyskutanci, w tym ludzie prowadzący własne firmy. Obroncy księdza rzucali się, że przecież oprócz tego każdy proboszcz musi płacić składki do kurii i różne wewnętrzkościelne opłaty. Krzyczą też, że taca nie jest dla księdza, tylko na utrzymanie budynków parafialnych i pracowników. Ale jak przychodzi do zapłacenia ZUS-u organizacji, to dobrodziej mało na zawał nie zejdzie i przeklina system emerytalny.

„Ofiary” za msze, śluby, pogrzeby itd. to kasa dla księdza, też nieopodatkowana. Nie mówiąc już o tym, że niejeden funkcjonariusz Pana Boga za byle papierek z kancelarii inkasuje parę stówek. Ale po co te nerwy? Zapłacił ryczałt i prosić się odpiędolić.

To, że księża muszą odpalić działkę biskupowi, to ich broszka. A zachowują się tak, jakby ich firmowe sprawy zwalniały od obowiązku uczciwego dokładania się do wspólnej kasy, z której i tak czerpią garściami w postaci dotacji czy bonifikat. Uważają, że skoro muszą utrzymywać Watykan, to mogą doić Polskę, nie informując nawet, jakie i za co pieniądze przez ich ręce przepływają. Jeszcze niejedna interpelacja w sejmie upłynie, zanim to się zmieni.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

JędraSzewska pasja

Nikt się nie chce bawić z metropolitą krakowskim

Tron arcybiskupi w Krakowie jest – jak by to ujął Forrest Gump – jak pudełko czekoladek: nigdy nie wiesz, co ci się trafi. Karol Wojtyła odleciał stamtąd na tron w Watykanie, Franciszek Macharski jechał na sławie poprzednika i wszyscy go szanowali. Dziwisz na początku też miał lekko i przyjemnie, ale na starość ma kłopoty.

Marek Jędraszewski od początku traktowany był w Krakowie jak trędoty, bo Krakusy przyzwyczajeni są, że ich biskupem jest tubylec. Poznaniak, który po drodze zaliczył Łódź, miał pod górę, zwłaszcza że otwarcie trzymał z pisowcami, co też nie przysparzało mu fanów. Zamiast pić herbatkę w redakcji „Tygodnika Powszechnego” brylował na imprezach Rydzyka. A ponieważ jest

na wylocie, to niektórzy coraz śміiej okazują mu pogardę.

Oczekujący na emeryturę Jędraszewski ciągle jest urzędującym metropolitą, mimo że rezygnację złożył już w ubiegłym roku, gdy skończył 75 lat. Nie wygląda na skrajnie wyczerpanego, o tężyznę fizyczną dba, grając w tenisa. Przecież Trump ma 78 lat i dopiero zaczyna kadencję. Papię nie śpieszy się z wyborem następcy (Jędraszewskiego, nie Trumpa); zresztą nie bardzo jest w kim wybierać, kiedy się przegląda atlas polskich biskupów. Toteż władza kościelna nie niepokoi ekscelencji, za to nękają ją władze świeckie.

Na odchodne Jędraszewski dostał siarczysty policzek od krakowskich radnych. Postanowili oni zlaicyzować kapitułę nagrody Cracoviae Merenti

– medalu przyznawanego zasłużonym dla Krakowa.

Jak każda taka napuszona nagroda z łacińską nazwą, jest to element lokalnego lizania się po genitaliach, w czym kler ma wybitne doświadczenie. Wyrzucenie z kapituły to kolejna prestiżowa porażka Jędraszewskiego po tym, jak Watykan podważył jego decyzję o wyrzuceniu z funkcji proboszcza bazyliki mariackiej ks. Dariusza Rasia (brata Ireneusza, posła Trzeciej Drogi).

Z kapituły medalu wróg tęczowej zarazy wypadł po zjednoczeniu sił radnych Lewicy, Koalicji Obywatelskiej i Krakowa dla Mieszkańców.

W uchwale radnych Nowej Lewicy idzie o to, żeby w kapitule już nigdy nie zasiadał hierarcha kościelny. A że aktualnym metropolitą krakowskim jest Marek Jędraszewski, to nawet lepiej, bo akt ten jest „spóźnionym oddaniem sprawiedliwości skrzywdzonym przez niego”, których wyliczał referujący projekt uchwały radny Grzegorz Garboliński. Wśród

skrzywdzonych wymieniał choćby wspomniany już „Tygodnik Powszechny”, któremu Jędraszewski zabrał siedzibę, a potem blokował przyznanie medalu. W dodatku szczuł na gejów i kadził pisowcom. Generalnie zaś idzie o rozdział Kościoła od państwa.

Przeciwno brzydkiemu traktowaniu „kapelana smoleńskiego” zaprotestowali oczywiście pisowcy. Mimo że w krakowskim PiS nienawidzą się między sobą jak psy – co było widać podczas wyboru szefa tamtejszych struktur – to w sprawie Jędraszewskiego szczekają jednym głosem.

Radni, składając projekt uchwały, popełnili krytyczne błędy, o błędach można mówić na etapie całego procedowania tego dokumentu w magistracie. Wstępne analizy prawne wskazują, że ta uchwała musi wypaść z obiegu prawnego – jeżeli wojewoda będzie chciał przestrzegać prawa – powiedział PAP Łukasz Kmita, szef małopolskich struktur partii Kaczyńskiego. Będą walczyć o powrót metropolity do kapituły.

Przy okazji przypomniała o sobie była małopolska kurator oświaty Barbara Nowak. W Krakowie opłowywanie katolików przybiera wymiar rewolucji czerwonej hoty – ogłosiła.

Radni PO i lewicy odebrali Metropolice Krakowskiemu Markowi Jędraszewskiemu honor zasiadania w kapitule odznaczenia – Cracoviae Merenti. Barbara u bram Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa! – napisała Nowak na (tfu!) platformie X.

Barbara u bram Krakowa, a Barbara u bram senatu. Prawdopodobnie będzie ona kandydatką PiS w wyborach uzupełniających po tym, jak do USA, jako dyplomata, wyemigrował Bogdan Klich. Izbie refleksji brakuje takich ludzi jak pani Basia jeszcze bardziej niż Jędraszewskiego w kapitule krakowskiej nagrody.

MATT KOBOSKO

Na polski sport wyczynowy wydawane są wielkie pieniądze. Często bez sensu.

W minionych tygodniach głośno zrobiło się o polskich hokeistkach – ale nie był to rozgłos, na jakim im zależało. Znalazły się na linii frontu w bitwie, którą toczą z jednej strony minister sportu Sławomir Nitras, a z drugiej – prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego Radosław Piesiewicz i jego wierny sojusznik prezydent Andrzej Duda. Dzięki znakomitej postawie podczas preolimpijskich kwalifikacji w Bytomiu (5:1 z Tajwanem, 9:0 z Meksykiem i 5:0 z Koreą Płd.) dziewczyny awansowały do głównych kwalifikacji w japońskim Tomakomai. Kto tam zwycięży, pojedzie na igrzyska olimpijskie.

Nadbagaż

Polskie hokeistki zdobyły moje serce, bo bytomski turniej oglądałem w telewizji, natomiast wcześniejszych występów w czeskim Chomutovie nie widziałem – a tam przegrały wszystkie spotkania i skomplikowały sobie drogę do igrzysk, które rozegrane zostaną w przyszłym roku we Włoszech. W Tomakomai wygrać nie będzie łatwo, rywalki są wyżej notowane, ale nie wolno naszym paniom odbierać szans, tym bardziej że przed polską publicznością pokazały naprawdę spore umiejętności, a przede wszystkim ochotę do walki, co akurat w hokeju jest bardzo ważne.

Polskie hokeistki są czystymi amatorkami. Wszystkie albo pracują, albo studiują i na treningach pojawiają się po południu, po zajęciach. Sport olimpijski od czasów barona Pierre’a de Coubertina przeszedł daleką drogę. Gdyby – podobnie jak za czasów twórcy nowożytnych igrzysk olimpijskich – udział mogli brać tylko prawdziwi sportowcy amatorzy, Polki najprawdopodobniej nie musiałyby rozgrywać żadnych kwalifikacji. Większość ich rywalek zostałaby zdyskwalifikowana za zawodowstwo lub półzawodowstwo. Być może w ogóle bez walki Polki odbierałyby medale na podium.

Zamiast czytać o udanym występie w Bytomiu i szansach w turnieju w dalekiej Japonii nasze panie dowiedziały się, że najprawdopodobniej zostaną w domu. Bilety lotnicze do Japonii są drogie, a za sprzęt sportowy przychodzi zapłacić nadbagaż. Minister Nitras poinformował, że pieniądze do Polskiego Związku Hokeja na Łodzie nie wyśle, bo natychmiast położyłby na nich rękę komornik. Związek jest po uszy zadłużony.

W przeszłości podobne problemy załatwiane były za pośrednictwem PKOl. Tak przez lata finansowane były np. potrzeby kolarskich reprezentacji Polski. Polski Związek Kolarski jest jeszcze bardziej zadłużony niż centrala hokejowa i ministerstwo przesyłało pieniądze niezbędne na wyposażenie kadry narodowej na konto PKOl. Komornik mógł na nie tylko popatrzeć łakomym wzrokiem, ale miał za krótkie ręce, żeby po nie sięgnąć.

Po finansowych skandalach związanych z igrzyskami w Paryżu wcale się nie dziwię, że minister nie zamierza korzystać z tego pośrednika. Prezes Piesiewicz mógłby polecić z hokeistkami do Japonii w charakterze członka ekipy, może nawet trenera i przed odprawą skorzystać z saloniku VIP na lotnisku Chopina – co, jak wiadomo, już ma przećwiczone. Ten człowiek jest zdolny do wszystkiego. Tomakomai to bardzo ładne miasto nad Oceanem Spokojnym i zapewne prezes tam jeszcze nie był. A warto.

Nowelizacja

Podczas igrzysk w Paryżu – czyli już za kadencji Piesiewicza – okazało się, że Daria Pikulik zdobyła w kolarskim wyścigu omnium na torze srebrny medal w niedopasowanej koszulce, która piła ją w szyję. Strój dostała dopiero w przeddzień startu, a trzeba wiedzieć, że nie ma on nic wspólnego z T-shirtem z supermarketu. To specjalistyczna odzież składająca się z różnych rodzajów tkanin, indywidualnie dopasowywana do potrzeb zawodniczek lub zawodnika. W wyczynowym sporcie, w którym liczą się setne części sekundy, nie ma miejsca na amatorszczyznę.

Jakim cudem Daria Pikulik zdobyła srebrny medal olimpijski, naprawdę nie wiem. Rower dostała niespełna trzy miesiące przed startem, za zgrupowania sama płaciła (później jej te pieniądze zwrócono).

Na łodzie

Sprawę rozwiązać miała nowelizacja ustawy o sporcie. Przyjął ją sejm (przy zaledwie 22 głosach przeciwnych), przyjął senat (przeciw był jeden senator), ale wówczas do gry wszedł kolejny zawodnik, prezydent Andrzej Duda, który skierował ją do tzw. trybunału konstytucyjnego. Miał zastrzeżenia do tego, że we władzach związków sportowych obowiązkowo musiałyby być 30 proc. kobiet. Polskim sportem rządzi mężczyźni, ale jakimś cudem największe sukcesy odnoszą panie. W 105-letniej historii Polskiego Związku Piłki Nożnej w zarządzie była tylko jedna kobie-

obronienie doktoratu. Nie zostanie również powołany rzecznik ochrony praw zawodników i innych osób uczestniczących w tej działalności, nie mówiąc już o paragrafach mających chronić sportowców, zwłaszcza najmłodszych, przed nadużyciami, także seksualnymi.

No dobrze – ktoś powie – ale co to wszystko ma wspólnego z naszymi dzielnymi hokeistkami? Otóż ma, i to wiele. Nowelizacja ustawy dawała ministrowi możliwość finansowania reprezentacji kraju za pośrednictwem Instytutu Sportu. Ponieważ tej możliwości nie ma, a PKOl nie rozliczył się z igrzysk w Paryżu,



ta, Martyna Pajączek, która otrzymała stanowisko w drugiej kadencji Zbigniewa Bońka.

W myśl proponowanej nowelizacji ustawy do zarządu PZPN, który liczy 18 osób, wejść musiałyby 6 kobiet. Dla konserwatywnych działaczy – a do takich zaliczył siebie prezydent Duda – sytuacja jest nie do pomyślenia. To, że kobieca reprezentacja po raz pierwszy w historii awansowała do mistrzostw Europy, a panowie właśnie spadli z grupy A Ligi Narodów po kompromitujących występach, czy że Ewa Pajor jest czołową zawodniczką FC Barcelona, kiedy Robert Lewandowski zbiera tam cierpkie opinie, nie ma znaczenia. Baby mają robić to, co każą im mężczyźni. Koniec. Kropka.

Zastrzeżenia zwierzchnika sił zbrojnych wzbudził także fakt, że do władz związków sportowych obligatoryjnie wejść musieliby przedstawiciele sportowców. Za niestosowanie zaleceń nowelizacji przewidziano kary.

Nitras

Odesłanie nowelizacji do p. Świączkowskiego spowodowało, że w diabły poszły też inne, bardzo istotne postanowienia. Zawodniczki, które są w ciąży i po porodzie, będą musiały zacząć na zwiększenie wynagrodzeń. Nowelizacja ustawy zakładała podniesienie świadczeń za kontynuowanie nauki przez sportowców oraz nagrody za zdanie matury, ukończenie wyższej uczelni, a nawet

Sławomir Nitras zaproponował Andrzejowi Dudzie, żeby – skoro nie podpisał nowelizacji – z własnej kieszeni kupił bilety lotnicze dla hokeistek. W ten sposób dziewczyny, które tak zaimponowały podczas turnieju w Bytomiu, stały się zakładniczkami wojny na górze.

Nie jestem autorem powieści kryminalnych, nie będę trzymał Czytelników w niepewności do ostatniego akapitu. Hokeistki polecą do Japonii, bilety lotnicze są już kupione. Wylot nastąpi 2 lutego. Pieniądze wyłożyło jednak Ministerstwo Sportu i Turystyki, ale z oczywistego powodu (komornik!) nie przekazało ich do PZHL, lecz do Śląskiego Związku Hokeja na Łodzie, który nie jest zadłużony.

Pierwszą przeszkodę nasze zawodniczki mają za sobą. Kto wie, czy nie najtrudniejszą. Teraz czekają na nie kolejne. Polki w rankingu światowym notowane są na 20. miejscu, w Japonii mierzą się z gospodyniami (7. miejsce), Chinkami (12.) i Francuzkami (13.). Dziewczyny! Skoro dałyście sobie radę z prezydentem niemałego środkowoeuropejskiego kraju, jego ministrem i działaczami, żadne przeciwniczki, choćby wyprzedzające was w rankingu, nie powinny być straszne.

Jako młodziutki dziennikarz „Przeglądu Sportowego” pojechałem do Nowego Targu na hokejowy mecz miejscowego Podhala. Umyśliłem sobie, że siadę blisko boksu gospodarzy i zanotuję każde słowo trenera. W ten sposób napiszę później brawurową relację z meczu. Niestety, jedyna uwaga, jaką szkoleniowiec wygłaszał do swoich zawodników brzmiała: „Po co mos kija? Łoddey mu!”, a z tego atrakcyjnego tekstu nie dało się napisać. Drogie panie, nie zapominajcie w Japonii o radzie doświadczonego szkoleniowca! Jeśli stanie wam na drodze Japonka, Chinka lub Francuzka, pamiętajcie po co macie kija, a atakując bodiczkami, wyobrażajcie sobie, że naprzeciw nie jedzie na łyżwach wasza koleżanka hokeistka, lecz jeden z panów, którzy wpędzili was w niezręczną sytuację i uczynili zakładniczkami swoich rozgrywek. Awans na igrzyska w Cortinie d’Ampezzo macie w kieszeni.

Nawet nie potraficie sobie wyobrazić, jak mocno trzymam za was kciuki. I tysiące kibiców także.

Na koniec...

Tor kolarski w Pruszkowie zbudowano w 2008 r. na potrzeby organizowanych przez Polskę mistrzostw świata. Międzynarodowa Unia Kolarska zaczęła sobie pewnych poprawek, główny wykonawca Mostostal Puław ich dokonał, pieniądze za to nie dostał, i w ten sposób zaczął się dług PZKol. Przynajmniej tak brzmi oficjalne wyjaśnienie, bardzo nieoficjalnie mówiło się o jakichś machlojkach. Nie wiem, nie chcę nikogo pomawiać, faktem jest, że dług od tego czasu zaczął narastać. Ile wynosi obecnie, wiedzą może tylko lotni księgowi z polecenia, których reklamują w telewizji, pokazując, jak skaczą na spadochronach.

Złe dzieje się w Polskim Związku Badmintonu. On także nie dostanie z ministerstwa ani grosza. Przeciwnie, musi oddać 1,4 mln zł z nieprawidłowo wydanej dotacji. Zażądał tego minister Nitras, gdy okazało się, że pieniądze wydawano w kampanii wyborczej PiS na pikniki reklamujące działania rządu. PZBad (tak oficjalnie brzmi skrót nazwy badmintonowej centrali) nie zamierza niczego zwracać, tym bardziej że nie ma czego, bo pieniądze wydał na pikniki. Warto zauważyć, że we władzach PZBad do niedawna urzędował były europoseł partii Jarosława Kaczyńskiego Tomasz Poręba.

Poręba pojechał na igrzyska w Paryżu, ale co tam robił, dokładnie nie wiadomo. Polski badminton, poza panem Porębą, nie miał innego olimpijczyka. Zresztą były europoseł zaraz po powrocie ze stolicy Francji zrezygnował z zasiadania w zarządzie PZBad.

Wyprawę hokeistek do Japonii udało się sfinansować. Kolarze i badmintoniści też nie zostaną bez pomocy, choć działacze ich związków nie dostaną do ręki ani złotówki.

Ministerstwo Sportu i Turystyki ogłosiło konkurs ofert na realizację programu wspierania szkolenia i współzawodnictwa właśnie w trzech wspomnianych dyscyplinach w 2025 r. Przeznaczono na ten cel 13,5 mln zł. Pieniądze te umożliwią zawodniczkom i zawodnikom uczestniczenie w imprezach mistrzowskich oraz zdobywanie kwalifikacji olimpijskich.

Ktoś powie, że moja opowiadka kończy się happy endem. Gówno prawda. Doraźne finansowanie sportu niczego nie załatwia, to jak zatykanie palcem dziury w tonącym okręcie. Potok gotówki ze spółek skarbu państwa w każdej chwili może przestać płynąć. Grupa Azoty zdecydowała się zakończyć współpracę z klubem piłki ręcznej z Puław, a wcześniej podobny krok uczyniła wobec drużyn siatkarskich z Polic i Kędzierzyna-Koźła. I co? Na jej miejsce wejdzie Orlen? On i tak finansuje pół sportowej Polski. A może ministerstwo ogłosi kolejny doraźny program?

W Sanoku – wracamy do hokeja, ale w męskim wydaniu – zwolniono trenera STS Sanok Fina Elmo Aittolę, bo nie podobał się kilku zawodnikom. Jednocześnie miasto ogłosiło, że przestaje wspierać sport młodzieżowy – i hokejowa drużyna Niedźwiadków w sensie dosłownym zostaje na łodzie. Takie przykłady z różnych stron Polski mogłbym mnożyć aż do zanudzenia Czytelników. Tylko po co?

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Cwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 22.01.2025 r.

JOANNA SENYSZYN rusza do boju o zostanie prezydentką.
AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA niesie za nią halabardę.

Wołk-Łaniewska: – Nie pogadamy dzisiaj...

Senyszyn: – A co, spieszysz się gdzieś?

– Czas jest, tylko miejsca nie ma. Drukujemy wszak twoją listę do zbierania autografów...

– Niniejszym przepraszając Czytelników
za okrojenie dialogów.

– Najuniżeniej. Ale robimy to w dobrej sprawie. Bo – po pierwsze – cię kochamy. A po drugie – uważam, że byłoby wyśmieszenie, jakby głowa państwa się знаła na gospodarce. Bo wtedy może by rozumiała, co podpisuje.

– Dla odmiany.

– Dokładnie. Albo – to program minimum – chciałabym, żeby w kampanii, w debatach, był obecny głos kogoś, kto ma rzetelną wiedzę ekonomiczną. Tobie nie wypada, to ja przypomnę, że jesteś profesorem zwyczajnym nauk ekonomicznych – co czyni cię jedyną osobą profesorską w tym wyścigu.

– No jestem, co poradzę.

– Ludzie, którzy wiedzą, że się przyjaźnimy, pytają mnie, po co ci to...

– I co odpowiadasz?

– Że robisz to dla ojczyzny...

– Na patriotyzm ci się zebrało? Jakbym cię nie znała, to bym uwierzyła...

– Tak serio, to odpowiadam, że chodzi o jakość debaty, poważny głos w dyskusji nad poważnymi sprawami. O to, żeby pokazać, że lewicowe poglądy nie są młodzieńczą utopią, tylko racjonalną i korzystną społecznie koncepcją polityki gospodarczej i społecznej. Czy jakoś tak...

– I bardzo dobrze. To teraz konkrety: listę można po prostu wyciąć z gazety, można też oczywiście zeskanować i wydrukować albo skserować, jak ktoś jest bardziej pedantyczny. Bardzo prosimy o staranne wypełnienie, bo PKW odrzuca najmniejsze nawet błędy.

– I jeszcze jedna ważna kwestia: nie krępujcie się, wysyłajcie, nawet jak macie podpis swój, żony, teściowej i sąsiada. Lista nie musi być pełna. Ziarnko do ziarnka...

– Czekamy z niecierpliwością. Wysyłajcie na adres: Joanna Senyszyn, ul. Władysława IV 53/3, 81-384 Gdynia.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

Prezes siedział w fotelu, majtał nogami i rozmawiał z własną intuicją, bo transmisja turnieju rodeo już się skończyła, a ciągle oglądanie Trumpa może i było budujące, ale zwyczajnie nudne.

– No i kto miał rację z kandydowaniem Nawrockiego? – zapytała dumna z siebie intuicja. – A kto krakał, że Nawrockiego trzeba będzie wymienić?

Kaczynski spuścił głowę. Posypałby ją popiołem, gdyby pod ręką miał jakiś popiół.

– Kumpluje się z gangusami – zaczęła wyliczać intuicja – skręcał kasę w porozumieniu z Red is Bad, mieszkał za darmo w apartamencie w muzeum. No i co z tego?

Prezes wpadł na pomysł, że pošle ochroniarza, żeby kupić z pół kilo popiołu.

– Mówię ci, Jaro, nawet gdyby się okazało, że Nawrocki gwałcił cię – zarne zakonnice albo sprzedawał w przedszkolach metę, to nic mu nie zaszkodzi, lecz wszystko pomoże.

Ciekawe, gdzie kupuje się popiół? – pomyślał Kaczyński.

– A co z Trzaskowskim? – chełpiła się intuicja. – Wystarczyło spotkanie z Zenkiem Martyniukiem, żeby poparcie zaczęło się sypać.

– W co popiół jest pakowany?
– A odbieranie Ukraińcom osiemset plus?

I ile kosztuje?
– Zaprawdę powiadam ci, że im bardziej Trzaskowski będzie halsował na prawo, tym będzie bardziej niewiarygodny, będzie mu więc spadało – wieszczyła intuicja.

- I co? - odważył się zapytać prezes.
- Jak to co? Trzaskowskiego wymieni Tusk.

– Na kogo?
– Na siebie, gamoniu! – zawołała intuicja. – Znów wszystko postawi na asa kier.

Chyba na waleta – chciał powiedzieć Kaczyński, ale ostatecznie zmilczał.

– Pewnie się zastanawiasz, Jaro, czy Tusкови uda się wygrać jak ostatnio...

Rzeczywiście prezesowi przyszło to do głowy.

– Na dwoje babka wróżyła – rzekła intuicja. – Jeżeli nie popełni takich prostych błędów, jakie robi Trzaskowski, to znów wygra.

– A Nawrocki? Przecież mówiłaś, że dobrze obstawiłem – jęknął Kaczyński, a potem złapał się za głowę, bo zdał sobie sprawę, że od pół godziny mówi do siebie.

Intuicja natomiast pomyślała o tym, czy przypadkiem nie zmieniła się w schizofrenię.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Komitet Wyborczy Kandydata na Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Joanny Senszys

WYKAZ PODPISÓW

Udzielam poparcia kandydatowi na Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Joannie Senyszyn w wyborach zarządzonych na 18 maja 2025 r.

[illegible]

Prosimy o staranne i czytelne wpisywanie danych. W przypadku pomyłki nie należy przekreślać błędnego wpisu – zamiast tego prosimy o wpisanie danych jeszcze raz w nowej rubryce. **Po podpisaniu listy proszę o przesłanie na adres: Joanna Senyszyn, ul. Władysława IV 53/3 81-384 Gdynia**